

KRONIKA RODZINNA.

PISMO DWUTYGODNIOWE.

WARUNKI PRENUMERATY:

Prenumerata wnos w Warszawie:	rocznie.....	rsr. 4 kop. —
	półrocznie.....	„ 2 „ —
	kwartalnie.....	„ 1 „ —
Na prowincji i w Cesarstwie dla nadsyłających pieniądze na prenumeratę wprost do Redakcji:	rocznie.....	„ 5 „ —
	półrocznie.....	„ 2 „ 50
	kwartalnie.....	„ 1 „ 25

Prenumerować można na wszystkich urzędach pocztowych, w Ekspedycji Gazet, w wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych i w Redakcji, przy ulicy Mazowieckiej, dom hr. Zamojskiego Nr. 1346; W Krakowie, w księgarni pana Friedleina; w Poznaniu, w księgarni p. Leitgebora; we Lwowie, w księgarni pp. Usajkowskiego i Seyfartha.

SPIS ARTYKUŁÓW. — Listy z podróży 1 List do Redaktorki Kroniki Rodzinniej, A. E. Odyńca. — Wspomnienie o Salomonie Rysińskim i o jego przypowieściach, przez Wł. Chomętowskiego. (Dokończenie). — Wiadomości literackie, (Córki pani de Chantal) p. A. B. — Listy z Petersburga, przez Artura Dolińskiego. — Marzycielka, powieść przez Halię. (Ciąg dalszy).

LISTY Z PODRÓŻY.

A. E. Odyńca ¹⁾.

XXXIX.

Do Ignacego Chodźki.

Florencya, 8 Listopada 1829 r.

Nie pisałem do ciebie z Bolonii, jako ze stolicy Romanii czy Legacyi Rzymskich, bo to nie jest właściwie żaden kraj osobny, ale tylko *appendix*, albo raczej *Filia* Kościelnego Państwa. Etrurya, *vulgo* Toskania, to rzecz inna.

I niech mi Wasza Mość wierzy,
 Że w Wilnie na święty Jerzy,
 Ni w Mińsku na święty Józef,
 Nikt z was nie cieszy się szczerzej,
 Gdy nie czekając na pozew,
 Ma czem spłacić kredytora,
 Jak ja biorąc się do pióra,
 Aby i ztąd, *gwoli* słowu,
 List do ciebie pisać znowu.

I to nie dla tego bynajmniej, żeby mi dług ten tak ciężył, ale tylko że mi jest miło myśleć, że mię ta akuratność waszej pamięci i myśli przypomni, a o mojej nawzajem przekona.

Z listów do Juljana, które z różnych miejsc po wyjeździe z Wenecyi, i stąd już raz pisałem, wiesz zapewne co wiedzieć potrzeba, abym się nie musiał powtarzać, a tylko wprost, jako ciąg dalszy, kontynuował relacye moje.

Damy twoje pewno ciekawe jak mi się powiódł bal włoski; a że to właśnie najświeższy wypadek, co mi brzęczy i miga w pamięci, od niego więc naprzód zacynam. Wczoraj, o godzinie 9-jej wieczorem, w białych chustkach i rękawiczkach jak do ślubu, i w błyszczących trzewikach jak do tańca, wsiedliśmy do karety jak wielcy panowie, i pojechalśmy do księcia Górczakowa, u którego byliśmy już rano, ażeby się dowiedzieć, co i jak mamy czynić wieczorem. W salonie zastaliśmy dwóch jakichś panów, równie jak my wysztafirowanych balowo. Książę, który wszedł wkrótce, zapoznał nas z nimi. Jeden książę Naryszkin, a drugi hrabia Borch, z Inflant; — to jest wszystko co o nich

wiemy. Gospodarz z dziwnym taktem uprzejmości tak umiał kierować rozmową, że wszystkim gościom swoim z kolei pole do mówienia podawał. Adama z żywym zajęciem wypytywał o znajomych i nieznanomych sobie, starszych i młodszych literatach w Moskwie i Petersburgu, i znać było że na zdania jego o nich przystawał. Na mnie znowu przypadły damy — *à propos* „uroczych”, jak się książę wyraził, dam warszawskich, i porównywania ich z niemieckimi. Przekonałem się atoli, że w tym przedmiocie książę Naryszkin był sto razy większym odemnie, jeśli nie amatorem, to znawcą. Słuchałem więc z ciekawością co mi opowiadał o Włoskach, podczas kiedy gospodarz domu z hr. Borchem o niezdobitych warowniach Dynaburga rozmawiał. Piłismy przytęm herbatę, i bawiliśmy przeszło godzinę. Około jedenastej dopiero książę oświadczył, że już pora jechać. Każdy z gości miał swój powóz osobny. My za najęcie naszego zapłaciliśmy dwa skudy, z *napivkiem* dla furmana (*per bére*).

Książę *Bacciocchi*, do któregośmy jechali, jest to szwagier cesarza Napoleona, mąż najstarszej siostry jego Elizy, teraz już wdowiec po niej, i żyjący tu sobie jak prywatny bogacz. Cały front pałacowy był uilluminowany lampami. Kareta księcia, a za nią i nasze, wjechawszy w szereg powozów zapełniających ulicę, ruszały się już tylko jakby za konduktem. Pierwszy raz w życiu jechałem na bal w ekwipażu na własną rękę, i ta myśl tak mię bawiła, jak Adama ta moja uciecha. Aprobuję on wszakże mój system, jak ja go nazywam, *pszczelny*, to jest, ażeby z każdej chwili i okolicznostki, jak pszczółka z drobnego ziółka, starać się i umieć wyciągnąć co najwięcej słodyczy; bo z takich tylko mikroskopijnych kropelek składa się w końcu w duszy ów *godzinkowy* „plastr miodu Samsona”, którym nawet ten olbrzym siły swoje pokrzepiał.

Dygressya ta i przerwa w narracyi, niech wam będzie jakby obrazem zatrzymania się powozów przez minut kilka, nim nakoniec i nasz z kolei zatoczył się przed zajazd, gdzie już książę stał w progu i czekał.

Wschody okryte przepyszny kobiercem, umajone po bokach wazonami kwiatów, odbijały w ogromnych zwierciadłach rześiste oświetlenie kinkietów i żyrandoli. Służba miejscowa, skoro księcia poznała, chciała wnet przed innemi utorować mu wejście na górę; ale on wolał czekać cierpliwie, aż jakaś wspaniała dama (niewątpliwie Angielka), w zielonej aksamitnej sukni z szerokimi falbanami z koronek, z brylantami we

¹⁾ Ob. Nr. 1.

włosach, w uszach i na szyi, odbyła przegląd loków i toalet dwóch wysmukłych panienek w bieli, i samęj siebie we zwierciadle—i dopięro:

Goniąc szat ich ogony po kwiatach dywanu,

weszliśmy w ślad za niemi do pierwszego salonu, gdzie sam gospodarz domu, niski, gruby i okrągły jak beczka, grał już w wista z jakimiś gwiazdzistymi panami, i podnosząc się na wpół z trudnością, wiele uprzejmie podał rękę księciu. Książę wskazując na nas, wyrecytował jednym tchem wszystkie nasze nazwiska, których on pewno ani dosłyszał. Kiwnął nam wskazę głową, i przebąknawszy machinalnie: „*charmé, charmé, Messieurs!*” zajął się znów swemi kartami—i tyleśmy go widzieli. Czy była jaka gospodyni balu? nie wiem, bo już nas więcej nie przedstawiano nikomu.

Każdy bal w pierwszej chwili, wyznaje, jest zawsze dla mnie bardzo zajmującym widowiskiem, jako żywa zarazem galerya obrazów i scena; a zawsze mi się naprzód przypomina „*Malwina*”, gdzie po raz pierwszy w życiu opisanie balu czytałem. Wczoraj nawet ciekawość i nowość dodawały bodźca wrażeniu. Wchodząc do sali tanecznej, przysła mi na myśl strofka z ballady Göthego „*der Sänger*” (śpiewak), którą znasz z epigrafu do mojego „*Kasyna*”:

*Seyd mir gegrüsst, ihr edle Herrn!
Gegrüsst, ihr schöne Damen!
Welch reicher Himmell Stern bey Stern!
Wer kennet ihre Namen?*

i którą sparodyowałem naprędce, stosownie do okoliczności, i wydeklamowałem Adamowi do ucha:

Witajcie nam Signoril!
Witajcie piękne damyl!
Co tu gwiazdl co za splendory!
Szkoda że was nie znamy.

I z tój to właśnie przyczyną, po godzinie tego spektaklu, znużyła nas i znudziła rola spektatorów. Poczciwy Allan, który się wnet do nas przyłączył, przeszedł wraz z nami też koleje wrażeń, i w dalszym ciągu wieczoru, prozaicznym już tylko okiem rozpatrywaliśmy się w szczegółach włoskiego balu. Pokoje umebłowane bogato, ale wszystkie w ogólności dość ciasne; sala nawet do tańca niewielka, i równie jak wszystkie inne kwiecistym kobiercem zasłana, tak, że kroków tancerzy nie słyhać. Muzyka grała z balkonu nad wejściem. Tańczono same kadryle francuzkie i tylko niekiedy walca. Roznoszono sorbety, lody i cukry. W bufecie były wina i zimne przekąski, ale wyczerzy właściwój nie było. Swoboda jak na balu publicznym. Towarzystwo złożone najmniej z dwiestu osób, przeważnie Anglików i Angielek, spacerowało sobie po wszystkich salonach. Z Polaków, prócz p. Borchy, był jeszcze młody książę Sanguszkowski (Władysław) z żoną, księżniczką Lubomirską z domu, najpiękniejszą z całego balu. Pan Borch zapoznał go z nami, a on przedstawił nas żonie. Z postaci istna Dyanna; z twarzy—nie powiem Wenus, bo od Medycejskiej nawet piękniejsza—ale raczej Charyta lub anioł Kanowy. Jednym słowem, królowa balu. I rzecz dziwna, jak solidarnie niejako czuliśmy jój tryumf, jako współziomki; choć nie wiem, czy która ze współziomek doznawałaby podobnego uczucia. Jednym razem, około godziny pierwszej, ruch się zrobił po wszystkich salonach. Byliśmy w drugim czy w trzecim, gdyśmy usłyszeli wkrąg siebie: „*la masurque! la ma-*

surque!”—i razem z tłumem ciekawych wcisnęliśmy się do sali tanecznej. Angielki zwłaszcza tłoczyły się na przebój. Dwie z nich, a jedna młoda i ładna, znalazły się tuż przy mnie, ale ani spojrzwały na mnie. Mazurek zajmował wszystkich. Pan Borch był w pierwszej parze z księżną Sanguszkową. Mąż jój, książę Narzyskin, i jakiś Kurlandczyk, składali trzy inne pary, z jakimiś nieznanymi damami. Dla mnie nie był to spektakl nowy, i więcej mnie zajmowała moja sąsiadka, przez to samo, że ma mnie za nic. Skorzystałem więc z pierwszej chwili, gdy księżna Sanguszkowa przebiegała w *szenie* koło mnie, aby półgłosem odezwać się do niej po polsku, na co mi też z uśmiechem odrzuciła grzeczne słoweczko. Nie zawiadła mię moja rachuba, że to zwróci uwagę sąsiadki; lecz też postanowiłem razem za pokutę nie dopuścić jej żadnych bliższych obserwacji. Jakoż pierwszy wzrok ciekawości, cofnął się zaraz przed moim, jak podjazd przed pikietą; że zaś moja pikieta nie schodziła z placu, to jest, że ja wciąż na nią patrzałem, więc i wszystkie następne jój spojżenia, migały tylko ku mnie błyskawicą przez rzęsy, i zaledwo błysły, wnet gasły. Bawiło to mię niezmiernie, a ją widać przyprowadziło do złości; bo nagle zwróciła twarz ku mnie i spojrzwała pełnemi oczyma; ale spotkawszy mój nieco ironiczny uśmiech, zmieszła się, zarumieniła, i nie wiedziała zda się co począć.

Ale jakbym słyszał w tój chwili okrzyk oburzenia i zgrozy najlaskawszej panny Anieli dobrodziki, dziwiącej się i gniewającej zarazem, że mię takie głupstwa zajmują, i że nawet śmiem o nich pisać. Otóż ty, mój drogi Ignacy, bądź w tym razie zastępcą moim. Chwyć jój rączkę, ucałuj serdecznie i powiedz, że piszę to umyślnie dla niej, aby się z nią jak zwykle podrażnić, i mieć potem za co przeproszać. Na dowód zaś, że i z głupstw tego rodzaju można przecieź wyciągnąć jaką taką korzyść, przytaczam tu wierszydelko, które, powróciwszy z balu o trzeciej, wpół zasypiając, wpół budząc się nazajutrz, skleciłem, a które jest czystym produktem owego *oczkwania* z Angielką.

Kto mi powie, kto odgadnie,
W głębi ocznych zwierciadełek
Co u dziewcząt siedzi na dnie:
Czy aniołek, czy djabełek?

Bo że siedzi, nie wiem co to,
Jakieś chłopię bez skrzydełek,
Widzi każdy;—lecz rzecz o to:
Czy aniołek, czy djabełek?

Bo raz na cię tak z pod powiek
Sypnie rajskich rój światełek,
Że choć przysiąd gotów człowiek,
Że to seraf, nie djabełek.

A wtém znowu tak cię kolnie
Wzrok, jak gdyby ostrz igielek,
Że aż krzykniesz mimowolnie:
„Ach! to szatan, nie djabełek!”

I stąd wiecznie świat się biedzi
Jak rozwiązać ten węzelek:
Co w panińskich oczkach siedzi,
Czy aniołek, czy djabełek?

Ale bodaj czy i tym wierszem nie poprawię się z *pieca na łeb* w opinii panny Anieli, jeśli jój nie rozbroi chyba jeszcze jedna strofka, którą w tój chwili do niego, jak klamerkę do łańcużka doplatam.

Ja wszakże mam pewność wszelką
Co do moich przyjaciółek,
Że w tój, co się zwie Anielką,
Musi przecież być aniołek.

Ale dość już tych żartów! Bieda tylko, że nie ufam sam sobie, jakby to wam na serjo powiedzieć coś jak chciałbym:

O wspanialszych nad wszystkie sale,
O ciekawszych nad wszystkie bale,
O wcielonych snach czy ideach,
O dwóch galeryach—muzeach,
Co w gmachach: *Uffizi* i *Pitti*,
Stanowią dwa miasta zaszczyty?

Sam plac, na którym stoi gmach ten pierwszy, najwspanialszy z placów tutejszych, zwany placem „wielkopsięcym” (*di Gran-Duca*), jest już jak muzeum pod gołym niebem; tyle tu historycznych wspomnień i pomników, tyle dzieł sztuki dłota najslawniejszych mistrzów, tyle przedmiotów do medytacji. Tu było *Forum* Rzeczypospolitej; tu pałac Medyceuszów, podobny raczej do twierdzy lub klasztoru, z wieżą jakby kościelną, istny symbol ducha i władzy wieków średnich; co się zresztą we wszystkich na tym placu odbija. Tuż naprzeciw pałacu sławne *Loggia di Lanzi*, pyszny otwarty portyk, o czterech arkadach, skąd niegdyś ogłaszano dekreta ludowe, a gdzie potem był odwacht *Lanzknechtów*, będących główną podporą władzy wielkich książąt, i od których ów portyk wziął swą nazwę dzisiejszą. Wszystkie też prawie dzieła sztuki na tym placu, (nie wiem tylko, czy przypadkowo czy umyślnie,) zdają się symbolizować pod różnemi względami myśl jedną—tryumf siły, i to siły tak materialnej, jak duchowej; przyrodzonej, i z góry natchnionej. Różnicę tę wyobrażają tu wydatnie: naprzód dwa lwy na wschodach *Loggi*, z których jeden jest grecki, drugi nowożytny; dalej zaś: Herkules zwyciężający Kakusa, i młody Dawid zwycięzca Goliata; Perseusz z uciętą głową Meduzy, i Judyta z głową Holofernesa. W wykonaniu też tych posągów walczyli z sobą o lepsze najwięksi mistrzowie dłota: Michał Anioł (Dawid) i Bandinelli (Herkules); Benvenuto Cellini (Perseusz) i Donatello (Judyta). A dodaćby tu jeszcze można i grupę Jana z Bolonii „Porwanie Sabinek”, jakoby symbol tego, czém była piękność względem siły w pogaństwie; chociaż do przeciwstawienia temu, nie ma tu nic innego, oprócz chyba starożytnego posągu jakiegoś branki germańskiej, (pod imieniem Tuszeldy,) w którym technie już przynajmniej surowa godność niewiasty, której dźwięki przodkowie wieków średnich, jak wiemy, dziką także cześć oddawali, nim ją Syn Matki-Dziewicy rzeczywiście uświęcił, a poezya i rycerskość na piedestał ideału podniosła.

Srodek placu zajmuje przepyszna fontanna, z Neptunem i Trytonami na wierzchu, (dzieło rzeźbiarza Ammanati), wzniesiona na tém samym, jak mówią, miejscu, kędy spłonął na stosie sławny Savonarola, z mnicha ludowy trybun i władca rzeczypospolitej, i nakoniec ofiara zmienności i wściekłości ludowej. Fontannę tę wzięćby można za płynącą wciąż wodę lustalną, na zmycie plamy tego aktu ognia i zapalów gminu; a tuż obok fontanny konna statua Kozmy I, jest zarazem pomnikiem upadku rzeczypospolitej Florenckiej, a początku monarchicznej władzy Medyceuszów, którym Florenca, jak wiadomo, najwięcej artystyczną swą świetność i chwałę zawdzięcza.

Zatrzymałem was tak długo na tym placu, bo i my

sami, przyszedłszy tu raz pierwszy, tak długo zatrzymaliśmy się na nim, że zaledwie przed zamknięciem muzeum mieliśmy czas obejrzeć, i to zlekka, dwie jego przedsale (*vestibule*), napełnione rzeźbami, starożytnymi i nowszymi. W pierwszej stoją szeregiem popiersia Medyceuszów; w drugiej: naprzód dzik, czyli odyniec, zapewne z rasy Kaledońskiej; potem koń, może Bucefal lub konsul Kaliguli; potem dwa wilki, ha! może mleczni bracia Romulusa; a wszystko to z brązu, i jakby emblemata godnych jego następców, których posągi zajmują głąb sali.

Ale właśnie z progu tój sali otwiera się widok, który poczujcie, jeżeli możecie, bo ja go wam opowiedzieć nie umiem. Wystawcie tylko sobie najdłuższy jak być może (500 stóp) i najwspanialszy korytarz. Całe sklepienie i ściany w obrazach; a pod niemi, po obu stronach, nieprzeliczony tłum, szereg głów, biustów, postaci: bogów, bogiń, półbogów, bohaterów, atletów, nimf, amorów, amorków; a między niemi kolumn, trofeów, ołtarzy, urn, sarkofagów i przeróżnych starożytnych pomników. A to wszystko z białego marmuru; a to wszystko są arcydzieła rzeźby; a to wszystko tak na raz uderza i odurza przychodnia, jak kiedy się naprzykład położywszy nawznak na trawie, wpatrzysz w gwiaździsty firmament, a porwany urokiem nieskończoności, zapominasz o wszystkim, i nawet o sobie. Takie jest pierwsze wrażenie tego korytarza, i wy na tém tylko przestańcie. Ja chyba to jeszcze dodam, że ten pierwszy długi korytarz, przez krótszy poprzeczny przy końcu, łączy się jeszcze z drugim, tójże samy co on długości, rozciągającym się równolegle, i zupełnie do niego podobnym. A pamiętajcie, że to są jeszcze tylko korytarze. Wzdłuż ich po bokach znajdują się sale, gdzie się mieszczą dopiero najcenniejsze skarby tego muzeum. Sal tych jest aż dwadzieścia dwie. A zawierają one: naprzód obrazy wszystkich, jakie były na świecie, sławnych szkół malarstwa—każda szkoła w osobnej sali. Potem zbiory antyków, rzeźb, bronzów, rysunków, napisów, naczyń etruskich, kameów, mozaik, i nakoniec klejnotów, czyli raczej drogich kamieni, których niekiedy artystyczny wyrób samą drogość materiału przewyższa. Ale najdroższym klejnotem całego muzeum, jest jedna z sal, zwana Trybuną, gdzie jakby w ośmiokątnym pudełku, mieszczą się same *solitery*; albo jak w klatce, same *białe kruki*; albo jak w *Sanctus sanctorum* tego przybytku sztuk pięknych, same cudowne obrazy i figury, wśród których, w samym środku, jak w systemacie planetarnym słońce, wznosi się, świeci i obraca około swej osi: *Venus Medycejska!!* Czołem, Mości Dobrodzieju! albo „*Odi profanum vulgus!*”

A wszakże w ustach moich, wyznaję, jest to tylko *pacierz* za panią matką; bo choć się sam przekonałem istotnie, że to jest najpiękniejsza ze wszystkich piękności z marmuru, żywych jednak naliczyłbym z tuzin, które mi się zdały piękniejsze i żywiej ujęły za serce, chociaż im się tak zbliżka przypatrywać nie mogłem. Na nięj wszakże niech będzie koniec tego mego *quasi* opisu tego sławnego muzeum *Uffizi*, o którym pewno słyszeliście nieraz. A chociaż długi, sklepiiony, napowietrzny korytarz, prowadzi zeń aż za rękę do drugiego niemniej sławnego muzeum w pałacu *Pitti*, ja tu o niem dziś ani wspomnę; naprzód dla tego, że byłyby to *dwa grzyby w barszczu*; a powtóre, że jeśli człowiek, jak mówią, nie żyje samym tylko chlebem, to tém mniej przecież dla kamieni lub malowideł może zapominać o chlebie, a cóż dopiero o barszczu z rurą, na który właśnie w tój chwili, w skutek specyal-

nój inwitacji, musimy iść na obiad do księcia Ogińskiego. I to niechaj ci wytlómaczy, że tuż obok Wenerę Medycejskiej śmiałem wspomnieć o barszczu i grzybach; a coby może inaczej wydało ci się takim dyssonansem, iżbyś mię gotów posądzić, że mimo oglądania tylu estetycznych specyaliów, we mnie samym smak *boćwinowy* zawsze jeszcze nad estetycznym przemaga. Protestuję więc przeciw temu, i dokończenie listu na poobiedzie odkładam.

Godzina 10 wieczorem.

Jeśliś miał może dziś paroxyzm czkawki, między trzecią a piątą godziną, to się nie bój! Nie był to żaden chorobliwy symptomat, ale wprost sympatyczny skutek ciągłej o was przy obiedzie rozmowy. Mówię o was, bo nie tylko o tobie, ale o całej rodzinie Chodzków w ogólności, której książę, równie jak i my oba, jest wielkim i szczerym przyjacielem, i przyznaje wam wszystkim solidarny i heredytarny rozum, dowcip, poetyckie usposobienie i zdolność; popierając to swoje twierdzenie przykładem starszego pokolenia, które znał oddawna i zbliska, a do czego, ma się rozumieć, i my też dodaliśmy swoje *trzy grosze*, mówiąc mu o Józiku, o Olesiu, o tobie, i o panu Dominiku; bo Leonard, jako pupil księcia, był właśnie punktem wyjścia tej rozmowy. Ale jeżeli spotkasz pana Dominika, to upomnij go, aby do waszych splendorów nie dodawał cienia lenistwa, o które go Adam obwinia, oddając zresztą całą słuszność nauce jego i zdolnościom. Wadę zaś tę przypisuje nie czemu innemu, jak „nazbyt gronostajowej”, jak się wyraził, naturze jego charakteru; to jest, że bojąc się skompromitować czémś miernym, woli nie zgoda nie robić; jak gronostaj przyparty do błota, woli się dać zabić myśliwcom, niżby uciekając przez błoto miał pokalać swoje białe futerko¹⁾. A zapamiętaj też to *dictum* i *ad usum* siebie samego.

Książę mówiąc o stryju twoim, panu *Janięze Swisłoczy*, powiadał między innymi, że oprócz wielu innych obywatelskich jego i literackich zasług, nikt może więcej nad niego nie przyczynił się do rozszerzenia w prowincyi naszej estetycznego nastroju i gustu, przez zaprowadzenie, zwłaszcza po wsiach i w różnych stronach, amatorskich teatrów, których on sam był wszędzie reżyserem i duszą. Mnóstwo z tego względu anegdota było dziś główną treścią opowiadań księcia, w czem go niemniej dowcipnie i żywo posiłkował rozweselony Adam, na którym, ile widziałem, zawsze tego rodzaju rozmowa równie ożywiająca sprawuje wrażenie. Najbardziej ubawiła nas anegdota o sławnym elegancie oszmiańskim, p. Kazimierzu Czechowiczu, który kiedyś za młodu, na amatorskim teatrze, podczas kontraktów w Mińsku, grając rolę jakiegoś generała, wymknął się podczas *entre-aktu*, i przechodząc się przed bliskim odwachtem, bawił tém dziecinną swą próżnością, że straż omylona jego ubiorem, broń przed nim prezentowała. Za drugim jednak razem nie udała się sztuka; i publiczność musiała czekać z godzinę, nim pan Jan teatralnego bohatera z rzeczywistej kozy wydostał. A ileż to romantycznych przygód i scen zakulisowych opowiadał nam jeszcze książę! Co za szkoda żeś ty razem z nami nie słuchał! możeby znów jaka powiastka do przyszłorocznej mojej *Meliteli* przybyła. Tymczasem muszę ci powtórzyć mniej więcej jedno opowiadanie, nie teatralne wprawdzie, ale wca-

le dramatyczne, którego bohaterką jest czeigodna i kochanka nasza księżna Gabryelowa (Ogińska), i które daje powziąć najlepsze wyobrażenie o owym estetycznym nastroju naszego społeczeństwa, w pierwszej ćwierci bieżącego wieku. Księżna będąc razu jednego w Warszawie, zaprosiła do siebie, do Strawiennik, krewnego swego, pana hr. Franciszka Ł., który był jednym z pierwszych dandysów i elegantów warszawskich, i podzielał z wielu innymi najzupełniejszą nieświadomość i najopaczniejsze pojęcia o rodzinnych stronach księżny, o co z nim ona ciągle staczała dysputy. Umówiony dzień jego przybycia przypadł na późną już jesień, kiedy dni bywają najkrótsze. Zawiadowca najbliższej stacyi pocztowej, stosownie do otrzymanych poleceń, tak długo pod różnymi pretekstami zatrzymał przybyłego rzeczywście gościa, że ten dopiero o zmierzchu stanął przed bramą pałacu. Zupełna ciemność i głuche milczenie panowały w nim i na dziedzińcu. Po długim zaledwo dzwonienu i wołaniu pocztyliona, charłak jakiś w lachmanach otworzył nakoniec bramę, ale i oświadczył zarazem, że już wszyscy spią w całym dworze, i że państwa budzić nie można. Zaprowadził więc gościa do jakiegoś pustej, zimnej, opuszczonej dziury, którą nazywał oficyną—a była to rzeczywście warzywnia. Para ludzi w kostiumach *à la Esquimos*, niby rządca i rządyczyni dworu, spotkała go tam u progu i zajęła się robieniem honorów. Za całe oświetlenie, zatłono pęk łuczywa; za posłanie miała mu służyć prosta twarda ława; za całe ugoszczenie, ofiarowano mu chleb czarny i kwas burakowy. Pan Ł. tak się czuł obrażony tego rodzaju przyjęciem, że chciał natychmiast odjechać napowrót. Ale konie pocztowe już były odeszły; a co gorsza, gospodarz wyszedł, i drzwi na klucz zamknął za sobą. Gniew i obraza uwięzionego tym sposobem gościa przechodziły wszelkie granice; tém bardziej, że z gospodynią nawet rozmówić się nie mógł, a służący, którego miał z sobą, przy powozie gdzieś na dworze pozostał. Po niejakiem czasie dopiero gospodarz nakoniec powrócił, i w imieniu obudzonych jakoby przez siebie panów, gościa do pałacu zaprosił. Ale jakież było jego zdziwienie, kiedy wychodząc na dziedziniec, ujrzał go cały w blasku, tysiąca lamp i kagańców, illuminujących pałac i klomby. Służba w galowém ubraniu spotkała go na wschodach, a za otwarciem podwojów do sali, orkiestra zabrzmiała z chóru, i pan Ł. ujrzał się nagle wśród balowego grona strojnych dam i poważnych ludzi, którzy go wszyscy serdecznie i z wesołą uprzejmością witali. Byli to goście zaproszeni z Wilna, którzy przybywszy od rana, ochoczo wzięli udział w zamierzonej mistyfikacji księżny. Ona sama wytłómaczyła powód jej gościowi, mówiąc: „Chciałam ci za jednym razem, kuzynie, pokazać kraj nasz i takim, jakim ty go wyobrażałeś, i takim, jakim on jest w istocie.” Pan Ł. tak był ujęty i zachwycony tém wszystkim, że przybywszy zaledwo na dni kilka, całą zimę w tej gościnie zabawił, grając przytém role kochanków na wielu amatorskich teatrach, tak na scenie jak i za kulisami.

A teraz na dzisiaj, *Vale!* Jeśli cię zaś dziwi lub gniewa, że zamiast nowalii włoskich, odegrzewam ci stare nasze anegdota; no, to wyobraź sobie, że w naj-sławniejszej bibliotece tutejszej, *Magliabecchiana*, zawierającej 10,000 samych rękopismów, w rozmaitych językach, znalazłem stare nasze *Silva rerum*, z którego ten idylliczno-poetyczny obrazek naszego życia wiejskiego wyjąłem. A jużciż jest to nie tylko przywilej, ale nawet zasługa wojażerów, odgrzebywać na cudzej ziemi znale-

¹⁾ Za przypisek do tego miejsca, czytelnik znajdzie poniżej „List do Redaktorki Kroniki Rodzinnej. (p. 4.)

zione pamiątki własne. Książę Ogiński zaś, jak każdy stary, podobny jest rzeczywiście do butwiejącego pergaminu, z którego co się nie przepisze na nowo, to z nim razem zginie na zawsze. A i pamięć jego także to istne *Silva rerum*.

I nieraz nam w tym lesie chwilkę przebyć milęj,
Niż pod cieniem pomarańcz w tej lub owej willi.
Obcość obudza, swojskość uśmierza tęsknotę.
Tu tylko złote jabłka—u nas serca złote.
Ach! prosmy tylko wspólnie Najwyższej Istoty,
Ażeby było coraz mniej głów do pozłoty.
Bądź zdrow! Damom cześć mą składam,
A ukłony łączy Adam.

LI ST DO REDAKTORKI KRONIKI RODZINNEJ.

Prosząc o umieszczenie niniejszego listu, zaczynam od wymienienia powodów, które mię do tego skłaniają.

W życiorysie ś. p. Adama Mickiewicza, przy warszawskiej edycji dzieł jego, pomiędzy przytoczonymi kilku jego listami, znajduje się jeden, z daty 3 Kwietnia 1828 r., pisany z Moskwy, do przyjaciela i uniwersyteckiego kolegi, Tomasza Zana, w którym autor wspominając o wielu dawnych kolegach i przyjaciółach, nazywa ich najczęściej nie po właściwych nazwiskach, ale po szkolnych koleżeńskich przyzwiskach, jakie im z różnych względów nadane zostały. Sama ta okoliczność jest już dostateczną wskazówką, że go pisał pod wpływem dawnych koleżeńskich wspomnień, które chciał też w ten sposób w czytającym obudzić. List więc taki, aby był zrozumianym istotnie, lub nie był tłómaczonym opacznie, potrzebowałby koniecznie dodania pewnych objaśnień, a przynajmniej pewnych zastrzeżeń. Jakoż autor życiorysu w przypisku zwał mnie i p. Fr. Malewskiego, abyśmy objaśnili niektóre z tych przyzwisk, które też bardzo słusznie wydrukowano *kursiwe*; atoli bez żadnego zgola zastrzeżenia, zostawiono pismem zwyczajnym, jakby wyraz rzeczywistej opinii autora listu, taki np. frazes o p. Dominiku Chodźce, szacowanym i lubionym powszechnie dawnym koledze i literacie, którego też sam Mickiewicz zawsze równie jak inni cenił i poważał. „Siedzi tu Dominik Chodźko, tłusty, brudny kapucyn, którego staramy się rozhluzdać, i do pracy zmusić.” — Któż nie pojmie, jak takie wyrażenie, ogłoszone publicznie, dotknąć musiało boleśnie tego, do kogo się ściągało; a to tém bardziej, że zbyt może wygórowana delikatność uczucia była najwybitniejszym znamięm charakteru p. Dominika Chodźki, i że on sam wspólny swój pobyt z Mickiewiczem w Moskwie, do najmiłszych swych wspomnień zaliczał. A jednak dosyć było kilku słów objaśnienia, aby przywracając właściwe znaczenie temu frazesowi, rzecz też samą, to jest stosunek Mickiewicza z panem D. Chodźką, w innym całkiem, a prawdziwem świetle ukazać. Obowiązek więc ten, z własnego mego natchnienia, ja natenczas wziąłem na siebie, i zaraz po wyjściu życiorysu, napisałem do jego autora, p. K. Wł. Wojcickiego, list, w którym ten przedmiot starałem się rozjaśnić, i o którego ogłoszenie prosiłem. P. Wojcicki ze zwykłą sobie uprzejmością uczynił zadość mojemu wezwaniu, i ten mój list w *Bibliotece Warszawskiej* wydrukował; ale inne ówczesne pisma warszawskie, nie wiem dla jakich powodów, nie tylko powtórzyć go w treści (o co były proszone), ale nawet wzmiankować o nim w szpalach swych nie raczyły. Tym sposobem, gdy wspomnia-

ny ów list Mickiewicza, rozchodząc się przy jego dziełach, został też po kilkakroć przedrukowany gdzieindziej, sprostowanie znaczenia rzeczowego frazesu nigdzie dotąd za obręb Biblioteki Warszawskiej nie przeszło. Dziś p. Dominik Chodźko spoczywa już w grobie; ale sam względ dla jego pamięci, przy wspomnieniu jego imienia, skłania mię prosić Panią, aby w miejsce przypisku do mojego Listu z Podróży, raczyła zaraz po nim umieścić w swém piśmie parę następujących ustępów z owego listu mego do p. Wojcickiego, z których pierwszy ściąga się do zwyczaju koleżeńskich przyzwisk, drugi zaś do istotnego znaczenia słów przytoczonego wyżej frazesu.

„Zwyczaj zastępowania nazwisk przyzwiskami, pospolity między szkolną młodzieżą, trwał też i w przyjacielskim gronie uniwersyteckich kolegów. Przezwiska te albo były przekręceniem imion własnych, albo się odnosiły do pewnych właściwości osób, albo też z przypadkowych okoliczności wynikły. I tak np. Tomasz Zan zwał się *Arcy*, jako w dobrém przodkujący innym; Józef Jeżowski, jako głęboki filolog, komentator ód Horacyusza, (później profesor literatury greckiej w uniwersytecie Moskiewskim), miał przyzwisko z zakończeniem łacińskiem *Jeżovius*, albo niekiedy prosto *Jeż*. Budrewicz, energiczny a milczący zwykle matematyk, nosił miano *Budrysa*; (z kąd i tytuł ballady *Trzech Budrysów*, i wzmianka o nim w *Panu Tadeuszu* jako o „chodzącym z niedźwiedziem w zapasy.”) Jan Hejdatel, (późniejszy Jenerał-Major inżynierji), przewzany był *Itydatul*, jak go też i Mickiewicz w owym liście swoim nazywa. Wspomniany w tymże liście *krzywousty, kudrawy Maryan* (Piasecki), uczony prawnik, czynny ciągle i uczynny dla wszystkich, winien był to swoje nazwanie skrzywionym nieco ustom i kręcącym się z natury włosom. Onufrego Pietraszkiewicza zвано przez skrócenie *Nufr*; Daszkiewicza *Daszkus*. Józef Kowalewski, (późniejszy rektor Kazańskiego uniwersytetu, obecnie dziekan filologicznego wydziału w uniwersytecie Warszawskim), z panińskiego wyrazu twarzy, przez młodszych nawet wiekiem nazywany był *Józkiem*; tak jak Józef Chodźko, (obecny Jenerał-Lejtnant inżynierji, który zwiedził i wymierzył szczyt Araratu,) *Józikiem*; albo jak młodszy brat jego Aleksander, (teraźniejszy profesor literatury sławiańskiej w kollegium francuzkiem w Paryżu), *Olesiem*. Ignacy Domejko, (obecny rektor uniwersytetu w San-Jago, w Chili), znany był wszystkim pod imieniem *Zegoty*. Mnie nakoniec przewzano *Telemakiem*, dla tego, że mieszkalem razem, i byłem niejako pod specjalną opieką Jana Czeczota, który był dla wszystkich *Mentorem*.”

Przytaczam tu aż tyle przykładów, raz dla tego, że byłem o to wezwany wyraźnie; a powtóre, że to może kiedyś posłużyć do objaśnienia innych ówczesnych wspomnień.

Otóż i p. Dominik Chodźko miał przyzwisko *Kapucyn*, a oto z jakiego powodu:

„Pan Lucyan Siemieński dobrze był poinformowany, gdy pisząc o życiu współczesnej z Mickiewiczem młodzieży uniwersyteckiej, powiada: „Lecz nie tylko w samej dziedzinie sztuki dokonywało się przeobrażenie. Jakby dotknięte czarodziejską różdżką, młode serca zaczęły się pozbywać „spleśniałej kory”, zaczęły kochać jak Gustaw, jak on sentymentalizować, i jak on podnosić kobietę, postawioną zbyt nisko ironią materialnego i filozoficznego wieku, do ideału, w jakim ja-

śniała w epokach rycerskich. Każdy zwolennik romantycznej szkoły musiał mieć swoją *Beatricę* lub *Laurę*; a z tém się wiązał i wybitny zwrót do spirytualizmu, czyli do połączenia świata widomego z niewidomym... Bo téż i nie byłoby poezji natchnionej, bez religijnego uczucia. Tak po woni kadzideł, odgdniesz nabożeństwo w świątyni."

„Piękne te słowa, godne swego autora, malują wier-ny obraz sercowych usposobień całej prawie ówczesnej młodzieży uniwersyteckiej w Wilnie, a cóż dopiero tak zwanych poetów, hołdujących w zasadzie ideom Platona, a w marzeniach i wyobraźni naśladowujących oho-cho—nie mogę sumiennie powtórzyć z p. Siemieńskim że *Gustawa*, a zaś z obawy opaczności pojęcia słów moich, nie chce mi się powiedzieć wręcz: *Don Kiszota*. Ze jednakże to imię gwałtem mi się cisnie pod pióro, muszę przynajmniej myśl w tém moję dokładniej nie-jako oznaczyć.

„Kochać jak *Gustaw*, to jest, dręczyć się i umierać z mi-łości jak on w *Dziadach*, nie było to rzeczą tak bardzo do naśladowania nęcącą; to téż nikt jęj naprawdę i nie naśladował. Ale żeby nie wzdychać przecież na wiatr do ideału z obłoków, i mieć przecież na ziemi wiersz do kogo napisać; prawdą jest, że każdemu mniej wię-ciej chodziło o to, aby wynalazł sobie jaką *Dulcyneję*, to jest *Panią swych myśli*, choćby ta nawet nigdy ani tych je-go westchnień, ani wierszy słyszeć nie miała. Dość było dla marzycieli, że to im dostarczało przedmiotu do marzeń; dla piszących wiersze, że dodawało bodźca do ich pisania; dla nielubiących siedzieć nad książką, że mieli przecież cel prze-chadzek pod temi lub owymi oknami, pó tym lub owym bulwarze albo ogrodzie. Było to więc w gruncie rze-czy nic więćej, jak pewny rodzaj umysłowej rekreacji i miły sposób przepędzenia czasu, nie zawadzający zresztą nikomu, z wyjątkiem kilku starszych, su-rowych sensatów, którzy zamiast westchnień i marzeń, radzili raczej młodszemu pracę i naukę; a zamiast owych miłych przechadzek, pilniejsze uczęszczanie do sal lek-cyjnych, choćby nawet w spacerowych godzinach. Gdę-racze ci po większej części byli to matematycy, me-dycy, albo prawnicy, którzy już przez to samo stano-wili odwieczną sprzeczność z poezją; ale że i p. Do-minik Chodźko, literat, i nawet czasem poeta, trzymał także ich stronę, apostazyja taka drażniła *drażliwy rodzaj* braci w Apollinie, i stawała się często powodem do dysput, w zapale których, w zamian za tytuły: próżniaków, trzpio-tów, półgłówek, it. p., których pan Dominik nie szczę-dził, odpłacano mu się nawzajem tytułami: pedanta, nudziarza, i t. d., aż nakoniec na *Kapucynie* stanęło. Powodem do tego przewiska, oprócz kaznodziejskiego tonu admonicji pana Dominika, była także i odzież jego, zwykle ciemno brązowego koloru. Ze zaś sam p. Dominik, jako starszy wiekiem, był téż i nieco więk-szej objętości od innych, a przytém zażywał tabaczkę, którą się częstokroć osypał; poszło ztąd, że do wspo-mnianych wyżej rzeczowników, dodawały się niekiedy epitety, właśnie w liście Mickiewicza użyte. Mickie-wicz bowiem bywał nieraz świadkiem tych dysput, wraz z *Arcym* i *Mentorem*, którzy z powagi i wieku, nie chcąc brać strony młodszych, a sumiennie nie mo-gąc starszych, przestawali na roli słuchaczy, i nieraz uśmieci się serdecznie. Łatwo więc pojąć, że Mickie-wicz w liście do Żana, cytując to przewisko *Kapu-cyn*, z dodatkiem łączących się z niem epitetów, chciał obudzić w nim przez to samo wesołe owych czasów wspomnienie. Jak zaś dalece sam ich szczegóły pa-miętał, dowodzi najlepiej wyraz *rozhluzdać*, wyjęty z żartobliwego wiersza, czyli tak zwanego u kolegów

jambu, który miły nam wszystkim i wesoły towarzysz nasz, Antoni Frejent, przeciwko owym właśnie sensa-tom napisał, i w którym była strofka o panu Domi-niku:

I Kapucyn próżno wróży,
Że nas ogórkiem obuzda.
Wprzód nim on nas zakapturzy,
Kupid i jego rozhluzda.

„Jamby tego rodzaju były u nas w powszechnej modzie, i dla tego przytoczę tu jeszcze jeden, mój wła-sny, jako nowy dokument w tój sprawie. Powód jego był następujący. Czeczot napisał był właśnie jedną z naj-piękniejszych swych piosnek, słynną wówczas i dotąd wielu ze współczesnych pamiętną, i której przeto po-wtórzenie tutaj w całości spodziewam się że zrobi przyjemność czytelnikom dzisiejszym.

Co to starzy za warjaci!
Mówią bez przyczyny,
Że czas młody źle się traci
Bawiąc u dziewczyny.

I pędzą mię do roboty,
A nie wiedzą tego,
Że bez dziewcząt ja ochoty
Nie mam do niczego.

Gdy się chwilkę z nią pogrucha,
Chwilkę się pośmieje,
Nowym ogniem serce bucha,
W głowie rozednieje.

I świat tęskną postać zrzuci,
Pracuję wesoły,
I piosnka się wdzięczniej nuci
Między przyjaciółmi.

Bajcież sobie, stare dziady,
Co się wam zamarzy,
Posłuchamy waszój rady,
Jak będziemy starzy.

„O wóz zaraz nazajutrz po utworzeniu się tój pio-senki, przesłałem ją, jako wodę na nasz młyn, panu Dominikowi Chodźce, mieszkającemu naówczas w bliz-kiej wsi pod miastem, z dodaniem takiego *jambu*.

Na! masz, czytaj kapucynie!
Co tu pisze o dziewczynie,
Nie półgłówek i nie trzpiot,
Ale Mentor mój, Czeczot;
Lepiej świadom rzeczy tych,
Niż zakapturzony mnich,
Co nad książką ślęcząc w celi
Nosem gméra w tabakierce.
„Miej serce i patrzaj w serce”,
A obaczysz gdzie Anieli.

Pisząc o tém przed laty do p. Wojcickiego, nie pamiętałem wtedy odpowiedzi, jaką mi na to udzielił p. Dominik, i tylko wspomniałem że była. Dopiero jeden z dawnych kolegów, za powrotem z dalekich po-dróży, przypomniał mi ją niedawno, i przeto ją tutaj przytaczam.

I piosnka, i mądrość taka,
Nie zaletą w twym Mentorze.
Mentor swego Telemaka
Od Kalipsy zepchnął w morze.
Twój cię innym wiedzie torem,
Ale cóż z tego wypada?

Oto, że twoim Mentorem
Jest Jan Czczot, nie Pallada.

Nie mogę powiedzieć z pewnością, czy inne jakie wiersze p. Dominika Chodźki, które czasem dla zabawy pisywał, były gdzie i kiedy drukowane; ale był on tłumaczem z francuzkiego kilku dzieł moralno-religijnej treści, i współpracownikiem niektórych pism periodycznych, wychodzących w Wilnie, gdzie jednak artykuły swoje najczęściej bezimiennie pomieszczał. Między innemi, kierował głównie wydawnictwem dzieł Brodzińskiego, wyszłych w Wilnie w dziesięciu tomach nakładem Glüksberga, i napisał życiorys autora. W ogólności jednakże p. Dominik Chodźko, z profesyi pedagog, nie był skorym do pióra, i przy bogatych zasobach nauki, czas i zdolności swoje wolał raczej obowiązkowi realnego życia, niż literackim pracom poświęcać. I ztądto ściągając często na się zarzuty i upomnienia przyjaciół, o czém téż i Mickiewicz w liście swoim nadmienia. Jako zaś o nieżyjącym już dzisiaj, niech mi się godzi dodać: że uważany jako człowiek, w domowym i społeczeńskim życiu, liczony był on zawsze przez wszystkich, którzy go znali, do najprawszych i najszlachetniejszych.

A. E. Odymiec.

WSPOMNIENIE O SALOMONIE RYSIŃSKIM i o jego przypowieściach.

(Dokończenie).

Drugim z porządku dziełem, którego jedyny i znany egzemplarz czytał p. Korotyński, jest zbiór napisów grobowych, ułożonych głównie dla członków rodziny Radziwiłłowskiej, dzielnicy Birżańskiej, lub dla spokrewnionych z nią osób, oraz dla kilku znakomych mężów i nie wiastr wyznania helweckiego. Tytuł dziełka: *Monumenta diversis personis posita* (pomniki wystawione rozmaitym osobom); drukowane w Lubczu nad Niemnem.

Trzecim nakoniec dziełem Rysińskiego są: *Przypowieści polskie, przez Salomona Rysińskiego zebrane, centurji osmnaście*. W Lubczu nad Niemnem, drukiem Piotra Blastusa Kmita, 1618 roku. (Drugie wydanie nakładem J. Wirowskiego bibliopoli Lubelskiego, r. 1629; przedrukował K. W. Wojcicki w Bibliotece Starożytnej T. II).

Dzieło to jest zbiorem przysłówiów ludowych i szlacheckich, dalej zdań satyrycznych lub moralnych różnych autorów, nakoniec poetycznych zwrotów, przypowieści i zdań okolicznościowych. Niektóre z tak zwanych przypowieści, odnoszą się do pewnej epoki i miejscowości, jak np. „Już mu i sandomierski doktor nie pomoże”. „Nie każdy weźmie po Bekwarku lutniej”. Napotyamy między innemi zdania streszczające obowiązki pewnego powołania: „Gospodarz powinien wiedzieć o polu, o gumnie i stajni”. „Nie z rejestru trzeba panu służyć”. W innych określone są stosunki panów do sług i poddanych: „Pan poddanemi a poddani panem stoją.” „Jaki pan taki kram.” „Stary sługa jak stary pies.” „Lepszy stary sługa zjedną wadą, niżeli nowy z dziesięcią.” „Chłopi na wsi a żacy w szkole, z odmiany przełożonych bardzo radzi.”

Widzimy z przytoczonych zdań jednego szeregu, że nie wszystkie zaliczają się do właściwych przysłówiów. Dostrzegamy następnie wiele zdań poczerpniętych z piśm starożytnych, z Pisma Św. z kronik miejscowych, słowem zbiór rzeczonych przypowieści powstał z najro-

zmaitszych źródeł. Dzieło to, bez względu na treść zdań i ich źródło, ułożone jest w porządku abecadlowym.

W przeglądzie niniejszym, rozłożymy niektóre przypowieści według treści i przedmiotów. Przysłowia ludowe i szlacheckie, zarówno jak zdania satyryczne i moralne, są częstokroć wskazówką panujących w danym czasie rozmaitych przekonań dodatniej lub ujemnej moralności. Wybitną jest ta różnica pojęć w przypowieściach i zdaniach o kobietach. Przytoczymy np. orzeczenie o stosunku mężów do żon: „Konia nie bij, sługi nie lżyj, żony nie drażnij, chcesz-li mieć z nich statek”. „Kto pije ten tyje, kto miłuje bywa zdrow, kto bije żonę będzie zbawion”. „Groźny na żonę kto nie ma swej żony”. Inne nadto tym podobne różnej treści zdania odnoszące się wyłącznie do żon, potwierdzają uwagę, którą uczyniliśmy niegdyś; mówiąc o stanowisku dawnych naszych niewiast, że zawsze sprzeczne były pojęcia o godności i przeznaczeniu kobiet. Zauważymy atoli że nie wypada przywiązywać zbytnej wagi do znaczenia owych satyrycznych przypowieści. Są to częstokroć jaskrawe wybuchy wesołego humoru, pochodzące z tegoż samego źródła, w którym Rej z Nagłowice a nawet i Jan Kochanowski czerpali niekiedy natchnienie do swych fraszek. Nie zalecają się wcale miejscową barwą, w znacznej też części owe satyryczne zdania o kobietach, przyswojone są z zagranicznych autorów lub przerobione z obcych przypowieści.

Jak dziś tak dawnemi czasy, umysły mniej wykształcone, lubowały się w obrazkach podchwytujących ujemną stronę niewiast. Zarówno u nas jak w innych krajach przechowywały się długo pojęcia z czasów pogańskich o ułomnościach czyli uposledzeniu niewiast. Piorunowali szczególnie przeciwni małżeństwa, co wybornie określa przytoczona powyżej przypowieść: „Groźny na żonę, kto nie ma swej żony”. Pod ich to wpływem, powstały owe satyryczne zdania wierszem i prozą, jak pn.

Orzech, stokwisz, niewiasta, jednym kształtem żyją,
Nic dobrego nie czynią, kiedy ich nie biją.

„Kiedy pies śpi, żyd przysięga, pijany się nudzi, białogłowa płacze, rzadko wierzyć trzeba”. Nie są to wcale narodowe przysłowia, lecz raczej satyryczne fraszki, które w danej epoce pochlebiali pewnym szorstkim i swawolnym umysłom i usposobieniom.

Do tegoż szeregu zaliczamy: „Rzadko żona bez gomonu”; lub drugie tejsze treści: „Która czyta, śpiewa gędzie, (gra), z tej rzadko cnotliwa będzie”. Pomienione przypowieści odnosimy nie dalej jak do XVI wieku. W tymże okresie powstała treść: „pierwej sto godzin wycieczce, nim się niewiasta oblecze”. Nie podlega żadnej wątpliwości, że dopiero w XVI wieku możemy się spotkać z przyganą niewiastom, które zajmują się czytaniem, muzyką i śpiewem. Też samą uwagę uczynimy w przedmiocie strojów. Napotyamy już wprawdzie znacznie wcześniejsze wzmianki o zbytkach niewiast i skłonności ich do wykwintnych strojów; pierwsze atoli satyry przeciwko modom ukazują się w wieku XVI, mianowicie w epoce rozpowszechnienia się modnych strojów wraz z innemi zagranicznymi zwyczajami. Najpłodniejszy w satyry o modzie jest wiek XVII; jest to okres bowiem obfity w pisma rozmaitej treści politycznej i moralnej, w pamiętniki, rozprawy o nadużyciach w rządzie Rzeczypospolitej i o ujemnej stronie obyczajów. Sądzimy, że zaspokoimy ciekawość czytelniczek, podając wiadomość o satyrze, w której najdokładniej opisane są stroje pań modnych z XVII wieku. „Nowe zwierciadło modzie dzisiejszego stroju, akomodowane

36

damom polskim, które się modno noszą, od Jakóba Łęczyńskiego ofiarowane 1678 roku. Tytuł dzieła wskazuje że odnosi się wyłącznie do zamożniejszej warstwy społeczeństwa, które zarówno dziś jak dawniej hołduje modzie. Zauważym atoli, że w owych wiekach, przesada w strojach, obok tchnących jeszcze patryarchalną prostotą obyczajów mniej zamożnej i tak zwanej zaściankowej szlachty, stanowiła rażącą sprzeczność; ztąd też niektórzy moralisci nie znajdują miary w oburzeniu, przeciwko rozpowszechniającym się zagranicznym zwyczajom, które najdosadniej wyrażają się w modzie.

Autor zwierciadła, w pierwszej części maluje obraz ciężkich klęsk kraju spustoszonego wojnami w epoce panowania Jana Kazimierza; przypomina oplakany los mnóstwa niewiast, wystawionych na pastwę zdróżnych namiętności lub zabranych w niewolę Tatarów; ubolewa, zatem że tak straszliwe próby nie wygluzowały z ich serca żądzy hołdowania próżności i modzie. Rozwódzi się następnie w tymże rozdziale szeroko nad zgubnymi wpływami mody na obyczaje i moralność.

W drugiej części Zwierciadła, wymienia autor po kolei rozmaite szczegóły ubrania pań modnych. Zaczyna więc krytykę od kwefów, czyli stroju głowy, dla którego nawet panny porzucają najprzyzwoitsze, od wieków noszone wieńce. O tem różnokolorowem ubraniu głowy wyraża się tak:

W pudle siedzi mężatka, w pudle panna, wdowa,
W pudle każda z możniejszych, w pudle białogłowa,
Zgoła wszystkie w tych pudłach tak się utaiły,
Że zacny stan panięński cale zagubili.

O przypinaniu wstąg do różnych szczegółów ubrania tak pisze:

Wiecej ujrzym na drugiej wstąg niż u kramarki,
Rzekłbyś, że żywe chodzą po świecie jarmarki.
Wstęga rękaw w kilkoro koło ręki zbiera,
Wstęga kosztowne perły na szyi zawiera,
Wstęga zdobi tył głowy, nie bez wstęgi ucho,
Wstęga trzyma zapięte od spódnicy rucho.
Kwiat ze wstąg na ramionach, i chustom wstąg trzeba,
Wstąg trzewikom: dziw że ich nie przypną do chleba.
Na fartuch wstęgi szpilaj: na wstędze pacierze;
We wstędze młodzian pamięć od swej damy bierze.
Wstęga jak jest potrzebna, abyście wiedzieli,
Bez wstęgi nie ozdobisz nawet i pościeli.
Ja wiem na co by jeszcze wstęga się przydała,
Ścieścić ust, aby panna nie wiele gadała;
A w raju Ewie gadać niebezpieczno z wężem,
Gdzie gadaniem zgubiła nas i siebie z mężem.

Opisuje następnie kornety i inne przybory głowy:

Trudno się nie śmiać z ludzi, widząc ich z rogami
Na głowach, które damy zowią kornetami.
Trzy siatki wiatry łowić na głowie stawiają,
A z nich śmieszne trzy rogi na czoło spuszczaają.
Kółka, muskaside, sakwy, czy nie śmiech na głowie,
Innych drobiazków liczyć trudno w krótkiej mowie.

Dalej wspomina o jedwabnych i perłowych zauszniach, ale najobszerniej się rozwodzi nad przypiekaniem i trefieniem włosów, które nazywa „męczarnią, i świątowych sidełek wymysłów spizarnią”, zawijają albowiem nietylko włosy w loki i pukle, ale wiążą je rozmaitemi świecidłami, wstążkami lub złotymi pierścieniami. Szydzi następnie z pudrowania włosów a nadewszystko z przyprowadzania peruk. Ztąd przechodzi autor Zwierciadła do muszek, które przylepiają na twarzach:

Kocują na twych skroniach węże, sroki, wrony,
Jakobys siostra była strasznej Persefony.

Położywszy zadanie wysmieszenia modnego stroju we wszystkich szczegółach, nie przepuszcza nawet paciorkom:

Pod tak bogatą głową, szyja zubożała,
Naga, biedna przy samych perłach się została,
A że przyskapięj pereł, więc czarne paciory
Moda zaleca damom nad inne fawory.
Dobrze że paciorkami karki otaczacie,
Które gołe, jakoby pod miecz zgodne macie.
Gdyby wam sztuka uszła, tak byście mówiły:
„Puść nas Panie do nieba, nabożny był, Bo lubośmy dla strojów modłów zaniedbały,
Na szyjach jednak naszych pacierze bywały.
Za prace, Panie, nasze, zimna i niewczasy,
Słusznie by nas minęły piekielne tarasy.
Znosimy wszelką przykrość która się nawinie,
Mróz w kościele, a w domu ogień na kominie,
Nie raześmy i karków mężnie nadstawiały,
Gdyśmy z kawalerami niemca tańcowały.
Co wody, mydła, pracy, na to się łożyło,
Aby się twarz, kark, szyje cudnie wybieliło.”

W dalszym ciągu satyry przymawia zalotnemu krowi sukien, gorsowaniu i obnażaniu rąk w krótkich rękawkach; przyczem uważa, że za nieprzyzwoitością w modzie idą różne swawolne w modnym świecie zwyczaje, przejawiające się w zbytne poufałych stosunkach kawalerów z damami i pannami, jako to: w przechadzkach po ogrodzie, w jeżdżeniu sam na sam kawalerów z paniami i t. p.

Winnym ustępie gani zbytek w ilości i różnaitości szat, zatem wymienia: kawalerki, kapoty, westy, mantolety, rejteroki, piekarnie, manty i kolety. Dostaje się następnie nagana paniom za zbytne sznurowanie gorsetów, za długie ogony noszone przez karłów, za błyszczące przybory u obuwia. Dowiadujemy się ztąd o modzie przewiązywania trzewików różnobarwnymi wstęgami i zdobienią ich drogiemi kamieniami.

Wracając się do określenia niniejszego zbioru przypowieści, zastanowimy się nad charakterystyczniejszymi zdaniami w przedmiocie zalotów i ożenienia: „Kto w zieleni, żenić się nie leni. Co się radzi zalecają nie rado się ożenają. Kto ma sześć koni w wozie, ty sięc złotych w szkatule, pannę w dwie mile, ten może czapkę na stole położyć. Gorąca miłość, sanna droga, krogulcze pole, nie długo trwają. I tego pan Bóg nie pomału troska, komu da szpetną twarz a miłosne serce. Panny w znowie, piwa z kadzi, podczas skosztować nie wadzi. Zaloty głosem, sianie w deszcz, zwada po pijanemu rzadko z pożytkiem. Poślubioną pannę każdy chce mieć za żonę. Trudno z gód na gody. Gospodarza w domu nie częstuj, czeladzi mu nie pój, żonie się jego nie zalecaj. Kiedy się stary z młodą ożeni, tedy właśnie jakoby w stary wóz młode konie założył. Rannego wstania, wczesnego zasiania, a młodego ożenienia nikt nie żałował. Śmiały co się z dwiema bije, ale śmielszy co się żeni, a nie ma nic”.

Przytoczone przypowieści o zalotach kawalerów i o ożenieniu przekonywają, że pojęcia w tej mierze nie o wiele się zmieniły; dziś bowiem słyszemy często też same powtarzane zdania. Wyróżnia się z tego szeregu jedna przypowieść, której nie możemy zastosować do obecnej chwili: „Trudno z gód na gody”. W owych czasach w istocie ciężkie to było zadanie, gdy odpra-

31

wiano nieraz weselne gody przez cały ciąg dwóch tygodni z hucznymi bankietami i tańcami.

W szeregu przypowieści o zalotach spotykamy się z charakterystycznymi ustępami, jak np. owe odezwy do kawalerów: „Hankam ci jest Matyasku, Hanka, a tyś mniemał że wojewodzianka”. „Oj Maćku, Macieju nie swą równą pojmujesz, moja córka Włodarzówna a tyś prosty kmieć”.

Zdolny komedyopisarz mógłby na tle tych przypowieści osnuć nie jeden pełen treści dramatycznej obrazek. Określają się w nich stosunki domowe i rodzinne zarówno jak społeczne. Między innymi, uczucie miłości macierzyńskiej wyrażone jest nader treściwie i obrazowo w tych kilku słowach: „Dziecię za rękę, matkę za serce.”

Starodawna serdeczna gościnność wyraża się w przypowieściach: „Więcej gość w cudzym domu ujrzy niż gospodarz za rok”. „W domu przed gościem, w domu za gościem”. Stają tu przed naszymi oczami owe tak żywo opisywane niejednokrotnie kuligi, kiedy niespodziewani goście zajeżdżali szumnie w licznej kawalcacie przed ganek starego dworca. Jan Jabłonowski w zajmującym swym dzienniku wspomina o podobnych najazdach. Zbudzili go raz w nocy nieproszeni goście. Rać nie rać musiał podejmować ohocho grono zamaskowanych dam młodych, a wkrótce gwarnym śmiechem, później muzyką i tańcami zabrzmiały wszystkie komnaty. Zdarzało się też często że zabłąkani w odległej okolicy i utrudzeni myśliwi, w licznych poczoje sług koni i psów gończych, szukali schronienia w pierwszym lepszym szlacheckim dworze, rachując na gościnność nieznanego gospodarza. I rzadko zawiedziono się w tym oczekiwaniu, bo gościnność w dawnym obyczaju najświętszą była powinnością.

W szeregu różnych przypowieści określających dawne domowe stosunki, możemy również zaliczyć do przeszłości, owo dosadne określenie przywiązania sług starych do swych panów: „Stary sługa jak stary pies”. Stają tu nam na myśli owe typowe postacie wiernych sług dawnych, którzy od dziada lub pradziada w jednym wychowywani i utrzymywani domu, najserdeczniejszym połączeni byli węzłem z całą rodziną swych panów.

Prawdziwie, wyłącznie swojską nacechowane są barwą przysłowia: „Miłe doma”. „Wszędzie dobrze, w domu najlepiej”. W istocie zamilowanie domowej rodzinnej strzechy jest jedną z dodatnich cech naszego obyczaju. Nawet umysły uganiające się najmocniej za rozmaitością, lub hołdujące obcym zwyczajom i modom, rzadko posuwały tę skłonność aż do pogardy domowego ogniska.

Zauważyliśmy, że wiele dawnych przypowieści w obecnych stosunkach nie znajduje zastosowania. Wymieniamy między innymi: „Krakowski trzewik, poznańska panna, wiślicka ziemia, przemyslskie piwo”. Dziś przedmiot wyłączonej dobroci pozostaje już tylko przy wiślickiej ziemi.

Przypowieść: „żadna biesiada nie może obejść się bez błazna” odnosi się również do odległej, mgłą już przesłoniętej przeszłości. Wiadomem jest, że w najdawniejszych czasach na dworach książąt i możnych panów utrzymywano błaznów, czyli trefnisiów, którzy z urzędu krotochwilnie opowiadaniem rozweselali swego pana jako też uczujących w domu jego gości. Rzeczona atoli przypowieść odnosi się w ogóle do wesołych krotochwilnych gawędziarzy którzy byli duszą każdej rodzinnej uroczystości i zabawy. Żadna wistocie biesiada nie obeszła się bez rozkosznych i dowcipnych opowieści. Dworzanin powi-

nien mieć na zawołanie przedmiot do opowiadania i urozmaicenia zabawy, jeżeli chciał uchodzić za ukształconego i dowcipnego w towarzystwie. Największą jednak pochwałę opowieści lub zastosowania, pobudzające do śmiechu bez obrażenia uczucia przyzwoitości. To też Łukasz Górnicki zaleca jako: „Nie przystoi trefnować dworzaninowi tym kształtem, jako szaleni albo pianice albo błaznowie. Albowiem chociaż takie ludzie zda się tak, iżby dwór bardzo rad widział, przed się nie są tego godni, aby je dworzany zwano, ale temi przez wi-ski, jakie któremu z nich właściwie służy.

Owóz wskazuje autor „Dworzanina” różne rodzaje żartów i przypowieści, które mają służyć do rozweselenia niewinnej zabawy, jak np. gawęda tej treści:

Chłop jeden bywszy w Krakowie natenczas, gdy posłowie książąt pomorskich królowi imieniem panów swych w pół rynku hołd według zwyczaju czynili, przed drugimi w karczmie powiedział: jako tam na wiele czystych rzeczy patrzył, jako król w dziwnym ubiorze wysoko siedział, a panowie niżej około niego, jako siła bardzo ludzi pięknie ubranych na koniach, pieszo, we srebrze, we złocie widział i dziwnego się grania nasłuchał, tak iż mniemał by był w raj. W tym spytał go chłop drugi: Coby wdy tam najosobliwszego widział? Odpowiedział, było się tam na wszystkie strony czemu dziwować, ale między innymi rzeczami to mi się najdziwniejsza zdało: Człowiek jakiś, przy drugich, którzy grali na surmach, na potwornej grał trąbie, tak iż co raz to jej sobie niemal pół łokcia w gardło puszczał i zaś wyjmował i zaś znowu wpychał. Niewiem, aby co dziwniejszego na świecie być mogło. Owo kmieć głupi mniemał, aby owa część puzana, która się i tam i sam pomyka, w gardło wchodziła”.

Nietylko opowieści, lecz zręczne przystosowania i żarty, zalecały dowcipnego dworzanina na uczenie, przy biesiadzie, a nadewszystko w uciesznych grach z damami. Między innymi przykładami przytacza Ł. Górnicki żart Kacpra Maciejowskiego „który służąc jednej we fraucymerze pannie, dowiedziawszy się, iż go panna w pierścionku panu Przeclawowi Łańkorońskiemu pobrać dała, na potkaniu zająkując się jako on mówił, rzekł panu Przeclawowi: Bracie kuku, (bo tak słyszę zwał Łańkorońskiego) zginął mojej pannie pierścionek, a ty ponuro chodząc (jakoż śnać tak chadzał Łańkoroński) zawsze patrzysz w ziemię, powiedz mi, jeśliś go ty nie znalazł?

Wzmiankowana krotochwila, w skutku pobrania kawalera w pierścionku, odnosi się do początku XVI wieku, w tym bowiem czasie żył Przeclaw Łackoroński. Opowieści Górnickiego w Dworzaninie, jak zbiory Gawęd Maurycego Trztytyckiego i tym podobne drukach i rękopismach z XVI i XVII wieku, odwzorowują to gwarne i ruchliwe społeczeństwo, pochopne do zwady i do zabawy czyli biesiady, która według przypowieści Rysińskiego, nie mogło obejść się bez błazna.

Kreśląc niniejsze wspomnienie o Salomonie Rysińskim i jego przypowieściach, wyczytaliśmy wiadomość o przygotowanym do druku wydaniu przypowieści S. R. z komentarzami przez Werykę Darowskiego. Nie pojmujemy przyczyny która skłoniła autora, do odłożenia na czas nieograniczony publikacji tak ważnego i zajmującego studium.

Z naszej strony, do życiorysu Salomona Rysińskiego możemy dorzucić tylko parę szczegółów, które poczerpnęliśmy z wiadomości podanej przez P. W. Korotyńskiego (w Kurjerze Wileńskim R. 1863 Nr. 135),

Dawny pedagog księcia Krzysztofa II Radziwiłła,

Rysiński, pozostawał prawdopodobnie ciągle przy jego boku. Znany powszechnie jako poeta, autor zbioru przypowieści, odznaczał się w szeregach różnowierców zarówno nauką jako i dowcipem. Kaznodzieja króla Czeskiego, książd Skultet, w liście z 1 Sierpnia 1621r. pisanym z Pragi do księcia Krzysztofa, wskazuje Salomona Rysińskiego, jako najzdolniejszego do napisania dzieła historii reformacji w Polsce.

W listach Daniela Naborowskiego do księcia Krzysztofa, znalazł P. Korotyński szczegóły i datę skonu Rysińskiego, w dniu 3 listopada 1625 roku. Polecił książkę złożyć włoki swego dawnego nauczyciela w Lubcu, gdzie tenże drukował swe dzieła, dla uczczenia zaś jego pamięci rozkazał wbić nad grobem słup murywany z tablicą.

WIADOMOŚCI LITERACKIE.

Córki pani de Chantal

(Les deux filles de sainte Chantal)

Paris 1871.

Wśród książek które schlebując dążeniem wieku, ukazują ziemską pomyślność jako jedyny cel życia, i uniewinniają wszelkie wiodące do niej środki, jawią się nie kiedy inne, wprost przeciwnej treści, nauczające jak spełniać prawdziwe zadanie człowieka na ziemi, i pozyskać ową zgodę z sobą samym, bez której duch nieśmiertelny, w najpomyślniejszych nawet warunkach ziemskiego bytu, zupełnego zadowolenia znaleźć nie może. Pragnąc aby dzieła podobne znalazły rozpowszechnienie w rodzinach naszych, śpieszymy wspomnieć o nich skoro się tylko pojawiają, w pośród niezliczonego mnóstwa zagranicznych publikacji mniejszej wartości, zalegających pulki księgarskie. Do liczby tych książek należy wyszłe niedawno w Paryżu opowiadanie o córkach pani de Chantal, która w siedemnastym stuleciu zasłynęła świętością zarówno w życiu rodzinnem, jak na szerszej widowni świata, jako przełożona kilku zgromadzeń założonego wówczas zakonu Nawiedzenia (Wizytek). Książd biskup Dupanloup, zawezwany przez wydawców o wypowiedzenie myśli swej o dziele tém napisanem przez nieznanego autora pod tytułem: *Les deux filles de sainte Chantal*, tak się o niem wyraził: W czytaniu rękopisu który mi przesłaliście, znalazłem tyle zajęcia i tyle wdzięku, że niemogąc powinszować téj pracy autorowi który pragnie ukryć swe imie, muszę wyrazić przynajmniej moje o niej zdanie. Nie trudniejszego jak pisać życie świętych; utwory więc podobne odznaczające się zdolnem opracowaniem, są tém cenniejsze dla umysłów znużonych czytaniem pospolitych książek, a chciwych czystszygo i szlachetniejszego pokarmu dla ducha. Praca o której mówimy nie jest właściwie biografią świętych, bo córki pani de Chantal nie mieściły się w ich liczbie, ale ponieważ historia dzieci wiąże się ściśle z historią matki i dopełnia jój niejako, nie mniej przeto obfituje w piękne i pożyteczne przykłady, zwłaszcza dla osób żyjących w świecie. Zadaniem tego dzieła jest również oświecić jeszcze żywszym blaskiem świętobliwą postać pani de Chantal, na którą najwięcej zwracano uwagi w ostatnich czasach. To zajęcie jakie obudziła duchowa córka S-go Franciszka Salezjusza, łatwo się tłumaczy tém że pani de Chantal łączy w swój osobie wszystko co najwięcej pociągające może umysły współczesne. Charakter pełen mocy poczerpniętej z zasad chrześcijańskich i prawdziwego rozumu; stanowisko wielkiej pani z dawnego towarzystwa

francuzkiego którego wspomnienia zacieraają się coraz więcej; wielką pomyślność wśród której dotknięta gromem nieszczęścia, stała się wzorem wdów, jak była w pierw wzorem żon i matek; zdolność nabytą cnotami temi wzniesienia się do wyższej jeszcze doskonałości; a w końcu niestrudzoną czynność, przez którą odznaczyła się mnogością dzieł pobożnych. Jakkolwiek jednak owoce jój ofiar i poświęceń, były widocznie pożyteczne ludziom i miłe Bogu, świat ją nie zawsze pojmował i zdarzało się nieraz słyszeć powątpiewania, ażali obowiązki zakonnego stanu, nie były jój przeszkodą w wychowaniu starannem własnych dzieci. Biografowie świętej dowiedli już niesłuszności tych twierdzeń, sądźmy wszakże że historia życia jej córek jeszcze lepiej ją wykaże. Bezimienny jój autor czerpał materiały do opowiadania swego w najprawdziwszych źródłach, gdyż klasztor Nawiedzenia w Ancecy otworzył mu swoje arhiwum, i ukazał pamiątki piśmienne, przechowywane przez zakonnice z miłością dziecięcą. Wiadomo powszechnie że siostry Nawiedzenia, od czasu powstania klasztoru swego aż do dziś dnia, zachowują zwyczaj spisywania pamiętników; w Ancecy posiadają one w nich skarb prawdziwy który obecnie dopiero ujrzal światło dzienne. Z szacownych tych rękopisów i listów społecznych, które dotąd zajmowały jedynie zgromadzenia klasztorne, pod wpływem i wrażeniami wywołanemi wspomnieniem osób które je pisały, nieznan autor wysnuł swą powieść o córkach pani de Chantal, Maryi Amacie de Rabutin Chantal, baronowej de Thorens i Franciszce de Rabutin Chantal, hrabinie de Toulonjon. Życie obu siostr odmienny ma charakter i innego rodzaju zajęcie obudza, istnieje pomiędzy nimi wszakże jakiś łącznik, który sprawia że ich biografje zlewają się harmonijnie w jedną całość. Marya Amata młodziuchna bratowa S-go Franciszka przesuwają się tylko przed naszymi oczyma jak lubie senne widzenie. Przeniesiona w dziecięcych jeszcze latach w góry sa-baudzkie, błyszczy tam chwilę wdzięcznym i czystym blaskiem, i znika bezpowrotnie, jak kwiat złamany przedwczesnie burzą, zostawiając tkliwe wspomnienie wysokich zalet umysłu i serca, kwitnących wśród szczęśliwego związku, nagle przerwane śmiercią. Innem było przeznaczenie Franciszki de Toulonjon, której życie pełne różnorodnych wypadków, przedłużyło się około trzy części wieku w rozmaitych miejscach. Łzy lubo nie tak blizkie radości, płyną tam wszakże obfitem źródłem. Z początku pani de Toulonjon opływa długo we wszystkie ziemskie pomyślności, lecz żaloba którą przywdziewa później jest bardzo gorzką, zapewne aby nie brakło próby tej prawdziwie chrześcijańskiej cnocie. Główną odznaką jej charakteru jest wielka moc duszy, wśród trosk i boleści życia, zawsze zrówną znoszonych odwagą. Obie córki pełnego pobożności i zalet rycerskich barona de Chantal i świętobliwej jego małżonki, wychowane zostały pod tymże samym wpływem i tymże samym kierunkiem. Z opowiadania o nich, poznajemy czem była pani de Chantal dla swych dzieci; z jaką pilnością wytrwała i czynnością pełną tklivosti i mocy zarazem, wtedy nawet gdy oddalała się od świata, kierowała ich wychowaniem i w jaki sposób wychowanie to uczyniło Anioła z Maryi Amaty, a zaciłą i mężną niewiastę z Franciszki. Nie piękniejszego jak przytaczane często listy jój do dzieci, przychodzące zawsze w porę aby je powstrzymać na drodze zbytniego zamifowania świata, obudzić w nich miłość Boga, albo też oświecić i wesprzeć w trudnych okolicznościach. Ukazuje się tam również często Franciszek Salezusz prawdziwy ojciec duchowy matki i córek, w którego ła-

godną i tkliwą postać wpatrujemy się ze czcią i miłością. Wzywany do rady około wychowania ciężącego na wdowie poświęconej w zakonie, spełnia swe zadanie zdziwną trafnością, i łącznie z matką staje się dla dzieci mistrzem w uświęceniu duszy, gdy zaś Bóg powołał go do siebie, wspomnienie jego wdalszym ciągu życia świętej i córki jej Franciszki¹⁾ jest pochodnią wielką, i błogosławieństwem wielkiem. Do zajęcia jakie obudza ta książka, przyczyniają się jeszcze napotymane w niej zaciekawiające postacie: słynnego wówczas Bussy de Rabutin, pani de Sevigné i Jaqueline de Chaugy, której talent pisarski zasługuje na oddzielne miejsce w historii literatury ówczesnej. Jaqueline de Chaugy znana pod imieniem siostry Franciszki Magdaleny, siostrzenica pani de Toulonjon godna jej pobożnością życia, napisała historię zakonu Nawiedzenia, nie dość ocenioną z przyczyny że była mało znaną. Autor opowiadania o córkach pani de Chantal, wiele szczegółów czerpie z jej opisów i niemógł wybrać lepiej, gdyż matka de Chaugy jest rzadkim pisarzem, pełnym dziwnie oryginalnego wdzięku i uroczej prostoty. Trzeba wyznać że autor umiał wybrać nader trafnie z archiwum w Annecy ustępy które przytacza, równie jak i to że umie się sam postawić w cieniu, aby uwydatnić przed oczyma czytelnika osoby które wprowadza. Można by powiedzieć że oprawia je jako klejnoty w ramy treściwego opowiadania, w którym wszakże rozpoznajemy dwie wielkie zalety w historyku z dzisiejszych czasów, to jest wysoką pobożność, i prawdziwą znajomość życia, zdradzającą się przez trafne i częstokroć głębokie uwagi. Historia córek pani de Chantal jest zatem książką zarówno zajmującą jak nauczającą i wzniosłą. Lubo nie znajdujemy tam nadzwyczajnych wypadków lecz jedynie fakta z codziennego rzeczywistego życia, nie brak jej wszakże żywo poruszających ustępów. Krótki rys życia Maryi Amaty jest czarującym z początku, a później przejmującym boleścią dramatem, kończącym się na wyżynach ducha wśród niebiańskiego światła, gdy ta młoda kobieta umiera w prawdziwie chrześcijańskich uczuciach. W historii pani de Toulonjon widzimy znów obraz zmienionych kolei długiego życia, lecz zawsze wobec obu tych istot wybranych, czujemy się otoczeni czystą i ożywczą atmosferą przenikającą ducha uczuciem dobra i piękna; dla tego też nie wątpimy że autor opowiadania tego, otrzyma wzamian za swą pracę nagrodę jakiej pragnął, to jest że dzieło jego znajdzie licznych czytelników i wywrze wpływ zbawienny”.

Przytoczywszy powyższe słowa biskupa Orleanu, które jak najlepiej streszczają wzmiankowaną przez nas książkę, poprzestajemy na nich, sądząc że będą dostateczne aby ją zalecić czytelnikom.

A. B.

LISTY Z PETERSBURGA.

V.

Serce i mózg.—Uczone zakłady i towarzystwa.—Projekt założenia towarzystwa religijnej oświaty.—Zakłady naukowe.—Ruch dziennikarski.—Nowe dzieła: poezya Słowian.—Statystyka drukarni, księgarń, bibliotek i muzeów.—Ogrody botaniczny i zoologiczny.—Udział kobiet w ruchu umysłowym stolicy.—Odczyty publiczne.—Życie rodzinne klasy robotniczej.—Kowal na ożenieniu.—Odkaszenie nosa.—Jeszcze pojedynek.—Poseł Turecki i niedźwiedźca.—Zamordowanie urzędnika Ryżowa.—Książd prałat Iwaszkiewicz.—Zima sieroce.—Drożyzna żywności.—Zupa z obrzynków skóry.

Jeżeli Moskwa jest sercem, to Petersburg mózgiem Rosyi nazwać można. Tu bowiem skupia się ruch

¹⁾ Marya Amata nie żyła już wtedy.

umysłowy całego kraju, roztrząsają się zadania naukowe, uprawiają się sztuki wyzwolone i kunszt. Uważam więc za rzecz stosowną przystąpić dzisiaj do skreślenia umysłowego życia Petersburgszczytanów. Dla pogodzenia jednak obfitości przedmiotu, z zakresem niniejszych listów, postaram się być zwięzłym, ograniczając się pobożnym tylko przeglądem wszystkich przybytków nauki.

Jeszcze w roku 1716, Piotr I, mając zamiar założyć w Petersburgu *Akademję nauk*, skreślił szczegółowy w tym przedmiocie projekt, który zjednał pochwały Leibnica i w roku 1724 został ogłoszonym. Otwarcie jednak akademii, której pierwszym prezydentem był Laurenty Blumentrost, lekarz Piotra I, nastąpiło za ledwie za panowania Katarzyny I, w roku 1726. W ciągu półtorawiekowego istnienia, zakład ten uległ różnym przekształceniom. Dzisiejsza akademja nauk, mająca prezydentem admirała hrabiego Litke, składa się z trzech wydziałów; pierwszy z nich poświęconym jest matematyce i fizyce, drugi historii i filologii, trzeci językowi i literaturze rosyjskiej. Oprócz tego, do składu akademii należą: dwa obserwatoryum (główne fizyczne, i małe astronomiczne), gabinet fizyczny złożony z 800 przedmiotów, pracownia chemiczna (laboratoryum) biblioteka i siedem muzeów, o których będzie jeszcze mowa. Rzeczywistych członków (akademików) liczy się około 50, honorowych 70, członków-korrespondentów 200. Akademia wydaje pięć pism czasowych: dwa w rosyjskim i trzy we francuzkim języku. Są to rozprawy, badania i sprawozdania, z dziedziny różnych nauk.

Mikołajewskie (dawniej Pulkowskie) *główne astronomiczne obserwatoryum*, chociaż położonem jest o kilkanaście wiorst od Petersburga, na górze Pulkowo, zalicza się jednak do rzędu Petersburgskich zakładów uczonych że zaś zbudowanem zostało (w roku 1839) po za obrębem stolicy, objaśnia się to specyalnością samego zakładu, wymagającego jak wiadomo, miejscowości górzystej. Budynek obserwatoryum składa się z trzech wież. Na jednej z nich ustawiony teleskop parallaktyczny Merca i Malera olbrzymiej wielkości. Obserwatoryum ma na celu: badania i obserwacje astronomiczne, udoskonalenie astronomii praktycznej, kiefownictwo wszystkiemi obserwatoryum w kraju, oraz kształcenie astronomów i uczonych geodezystów.

Oprócz dwóch wymienionych wyżej zakładów uczonych, w Petersburgu istnieje jeszcze kilkanaście prywatnych stowarzyszeń, mających na celu słuzenie nauce: 1) *Towarzystwo wolno-ekonomiczne*, założone w roku 1764, wydaje, w języku rosyjskim, własne czasopismo, zamieszczając w niem rozprawy z dziedziny nauk przyrodzonych, ekonomii politycznej, gospodarstwa wiejskiego, mechaniki rolniczej i zdrowia publicznego. 2) *Towarzystwo mineralogiczne*, założone w roku 1817, wydaje dwa czasopisma w rosyjskim i niemieckim językach. 3) *Towarzystwo geograficzne*, założone w roku 1846, wydaje dwa czasopisma w języku rosyjskim. 4) *Towarzystwo archeologiczne*, założone w roku 1846, wydaje dwa czasopisma w języku rosyjskim. 5) *Towarzystwo entomologiczne*, założone w roku 1859/1859, wydaje dwa czasopisma w języku rosyjskim i łacińskim. 6) *Towarzystwo techniczne*, założone w roku 1862, wydaje jedno pismo czasowe w języku rosyjskim. 7) *Towarzystwo pedagogiczne*, zostało założonem w roku 1863. 8) *Towarzystwo gospodarzy wiejskich*, założone zostało w roku 1864. 9) *Towarzystwo dla współdziałania handlowi i przemysłowi*, istnieje od roku 1865. 10) *Towarzystwo chemiczne*, założone w roku 1867, wydaje

czasopismo w języku rosyjskim. 11) *Towarzystwo naturalistów*, założone w roku 1868, wydaje czasopismo w języku rosyjskim. 12) *Towarzystwo freblowskie*, założonem zostało w roku 1871, jak o tém wspomniałem już w liście poprzedzającym.

Nie będę utrudzać czytelników szczegółowym opisywaniem działalności wszystkich tych Towarzystw, tém bardziej, że samo wymienienie ich nazwy, daje już wyobrażenie o tych gałęziach nauk, uprawianiu których są poświęcone.

Niektóre tutejsze gazety, na osnowie objętych wieści, donoszą o projekcie założenia w Petersburgu *Towarzystwa religijnej oświaty*, zadaniem którego, ma być współdziałanie w kwestyi połączenia Kościoła zachodniego ze wschodnim.

Przychodzę teraz do wyliczenia tutejszych zakładów naukowych.

I. Zakłady naukowe męskie.

A) WYŻSZE.

a) *Duchowne*. 1—2) Oprócz *rzymsko-katolickiej duchownej akademii*, o której podałem wiadomość w Nr. 11 *Kroniki Rodzinnej* roku IV (1870-1871), w Petersburgu istnieje jeszcze *akademia dla duchowieństwa grecko-rossyjskiego*. b) *Cywilne*. 1) *Uniwersytet*, założony w roku 1818, ma cztery fakultety: prawniczy (963 uczących się), nauk przyrodzonych z oddziałem matematycznym (326 uczących się), filologiczny (109 uczących się) i języków wschodnich (35 uczących się); w ogóle więc w uniwersytecie liczy się 1,433 uczących się, z których 1,322 studentów i 111 słuchaczy wolnych. Na studentów przyjmuje się młodzież od lat 17, po ukończeniu gimnazjalnego kursu nauk, za roczną opłatą 50 rsr. 2) *Liceum Aleksandrowskie*, założone w roku 1811, w Carskim Siele, a w roku 1837 przeniesione do Petersburga, dostępne jest tylko dla młodzieży, pochodzącej z rodu starożytniej szlachty. Roczna opłata, z mieszkaniem, stołem i odzieżą, wynosi 600 rsr. 3) *Institut historyjo-filologiczny*, jak świadczy sama jego nazwa, przeznaczonym jest dla młodzieży pragnącej wydoskonalenia się w językach, oraz we wszelkich gałęziach historii. 4) *Akademia medyczna*, założoną została w roku 1799. Roczna opłata, za prawo korzystania z wykładanych nauk, wynosi 50 rsr. 5) *Szkola prawa*, założoną została w roku 1835, dla młodzieży rodu szlacheckiego. Roczna opłata, z mieszkaniem, stołem i odzieżą, wynosi 450 rsr. 6) *Szkola budownicza*, dostępną jest dla młodzieży od 16 do 20 lat. Roczna opłata wynosi 350 rs: dla miejscowych i 60 rsr. dla przychodzących. 7) *Institut inżynierów-kommunikacyi*. Przychodzący opłacają 50 rs: rocznie, miejscowych zaś nie ma. 8) *Institut górniczy*, został założonym w roku 1773. Roczna opłata za nauki wynosi 30 rs. 9) *Institut technologiczny*, założony w roku 1828, dostępnym jest dla młodzieży za roczną opłatą 30 rs: 10) *Institut agronomiczny*, dostępnym jest dla młodzieży od lat 17, za roczną opłatą 50 rs: z mieszkaniem i usługą. c) *Wojenne Akademie*: 1) *Generalnego Sztabu*. 2) *Artyleryjska*. 3) *Inżynierna*. 4) *Wojenno-prawnicza*. 5) *Szkola marynarska*.

B) ŚREDNIE I NIŻSZE.

a) *Duchowne*. 1) *Seminaryum grecko-rossyjskie*. b) *Cywilne*. 1—9) *Siedem gimnazjum i dwa progimnazjum* z 2,800 uczących się. Roczna opłata wynosi: za miejscowych 300 rsr. za przychodzących zaś 40 rsr. 10) *Szkola handlowa*, założona sto lat temu dostępną jest dla chłopców od lat 9 do 16. Roczna opłata wyno-

si: za miejscowych 350 rsr., za przychodzących zaś 200 rsr. 11—45) *Trzydzieści pięć szkół powiatowych, parafialnych i kościelnych*. 46—105) *Sześćdziesiąt różnych szkół prywatnych*, z 4,500 uczących się. c) *Wojenne*. 1) *Korpus paziów*, założony wyłącznie dla synów zasłużonych generalów. 2) *Szkola pod chorążych gwardyi*. 3) *Szkola wojenno-inżynierska*. 4) *Szkola Inżyniersko-marynarska*. 5) *Szkola artyleryjska*. 6—8) *Dwa gimnazjum i jedno progimnazjum*. 9—18) *Dziesięć różnych innych szkół wojennych*.

II. Zakłady naukowe żeńskie.

1—7) *Siedem instytutów* z 2,100 uczących się panien. 8—15) *Ośm gimnazjum* z 1,700 uczących się panien. 16—40) *Dwadzieścia pięć różnych innych szkół rządowych*. 41—92) *Pięćdziesiąt dwa różnych prywatnych naukowych zakładów* z 3,400 uczących się panien.

III. Zakłady naukowe wspólne dla chłopców i dziewcząt.

1—20) *Dwadzieścia ochronek dla dzieci*. 21—208) *Sto osmdziesiąt ośm różnych szkół prywatnych* z 7,770 uczących się, z których 4,520 chłopców i 3,250 dziewcząt. Streszczając zamieszczone wyżej wyszczególnienia, otrzymamy następujące liczby ogólne: *Zakładów naukowych męskich 141;—żeńskich 92;—wspólnych 208.—W ogóle 441. Uczących się w zakładach prywatnych: chłopców 9,020;—Dziewcząt 6,650;—W ogóle 15,670.*

Co się tyczy zakładów skarbowych, przy niektórych z nich oznaczyłem liczbę uczących się, że zaś o większej części takich zakładów nie ma żadnych pewnych danych, dla tego ogólnej liczby uczących się wyprowadzić niepodobna. Ze wszystkich jednak badań moich wypada, że *uczących się w tutejszych skarbowych i prywatnych naukowych zakładach jest od 5 do 6 procentów ludności męskiej i od 4 do 5 procentów ludności żeńskiej*. Umiejących zaś czytać jest nie mniej 60 procentów ogólnej liczby mieszkańców. Nie mogę odpowiadać za matematyczną dokładność wszystkich powyższych wiadomości, które z powodu braku pewnych i świeżych statystycznych w tym przedmiocie materiałów zmuszony byłem zbierać częściami z różnych źródeł; spodziewam się jednak, że podane przezemnie liczby nie są dalekie od rzeczywistości.

Z kolei wypada teraz nam powiedzieć słów kilka o tutejszym *ruchu dziennikarskim*.

W Petersburgu wychodzi gazet, dzienników i w ogóle *pism czasowych*: bez cenzury 76 i pod cenzurą 65,—razem 141, a mianowicie: *Według języków*. W językach: rosyjskim 125, niemieckim 7, francuzkim 5, fińskim, 1, łacińskim 1, hebrajskim 1,—razem 141. *Według treści*. *Pism treści: religijnej 4, naukowej 40, dla młodzieży i dzieci 5, poświęconych polityce i literaturze 34, muzyce 2, modom 4, satyrycznych 2, różnej treści 50,—razem 141.*

Niektóre pisma odznaczają się szczególną taniością. Tygodnik w języku fińskim, pod tytułem „*Pietarin Samonai*” (Petersburgskie Wiadomości) kosztuje 1½ rs. na rok. Roczna prenumerata rosyjskiej gazety codziennej „*Nowosti*” (Nowiny) wynosi tylko 6½ rs. Najbardziej upowszechnione tu gazety codzienne rosyjskie: *Głos, Petersburgskie Wiadomości i Wiadomości Geldowe*, kosztują dość drogo: od 14 do 18 rs. na rok. Z pism zagranicznych, najwięcej tu ma zwolenników, wychodzący w Lipsku niemiecki tygodnik ilustrowany „*Die Gartenlaube*”, który, za roczną prenumeratę 2¼ rs. z przesyłką do Petersburga, daje więcej 100 arkuszy tekstu ze 150 artystycznie wykończonymi ry-

W ciągu roku, tutejsi prenumerotorowie odbierają; pism czasowych Petersburgskich około 5¼ miljonów numerów, nadsyłanych zaś z innych miast—około 750 tysięcy, w ogóle więc Petersburg corocznie odczytuje około 6 miljonów numerów różnych pism czasowych.

Przed kilku miesiącami, opuściło tu prasę bardzo zajmujące wydawnictwo p. Herbela, pod tytułem: „*Poezya Słowian*”. Jestto zbiór lepszych poetycznych utworów różnych słowiańskich narodów, w przekładzie na język rosyjski. Utworów polskich znalazło się tam 92, a mianowicie: *Pieśni ludowych* 6. Utworów: *Kochanowskiego* 6, *Szymonowicza* 1, *Trembeckiego* 2, *Naruszewicza* 2, *Krasickiego* 2, *Węgierskiego* 1, *Niemcewicza* 2. *Brodzińskiego* 1, *Malczewskiego* 1, *Ign. Chodźko* 2, *Mickiewicza* 40, *Massalskiego* 1, *Zaleskiego* 5, *Odyńca* 3, *Pola* 1, *Hołowińskiego* 1, *Słowackiego* 2, *Kraśńskiego* 3, *Kraszewskiego* 3, *Żeligowskiego* 1, *Lenartowicza* 2, *Kondratowicza* (*Syrokomli*) 4,—razem 92.

W takim porządku zamieszczone są w tém dziele, nie tylko poezye, ale i krótkie życiorysy każdego z autorów. Polskie utwory podane są w tłumaczeniach następujących rosyjskich poetów: Puszkina, Lermontowa, Benedyktowa, Kozłowa, Meja, Majkowa, Feta, Berga (który przetłumaczył całego „Pana Tadeusza“ Mickiewicza), Herbela, Księcia M. Golicyna, Ogarewa, Durowa, Ługowskiego, Piotrowskiego, Michajłowa, Pleszczewy i Szacowój. Z tego szeregu widać, że nie mało pisarzy rosyjskich, zajmuje się literaturą polską. Niektóre ustępy przetłumaczone są bardzo udanie, inne znowu niezupełnie się udały. (d. n.)

MARZYCIELKA.

POWIEŚĆ

przez

Halinę.

(Ciąg dalszy.)

„W Weronie umyślnie zatrzymałem się dłużej dla widzenia grobu Romea i Julietty. Idąc tam, powtarzałem słowa Romea: „Miłości, czemuż ty jesteś?.. Chorobą człowieka zdrowego, snem czuwającego, iskrą tlejącą w spojrzeniu drogiem, oceanem łez, goryczą, która zabija, szczęściem które umacnia, trwogą i radością; chaosem obleczonym w kształty uroczę, dziwnym uczuciem, które nigdy nieda sercu obiecanych rozkoszy!” Nie mogę zrozumieć, dla czego Szekspir wybranemu Julietty daje miłość inną, poprzednią? Czyż w życiu można kochać dwa razy?.. Czy można?.. Ja nie sądzę, ja nie przypuszczam rzeczy takich!..

„Widziałem w teatrze kobiety młdejące przy tej scenie, gdy córka Kapuleta zabija się obok zwłok męża, i mnie się to dziwnem bardzo wydało.

„Gdy o dwojgu kochających się powiedzą: „umarli”, wyobrażając sobie konwulsyjne drgania konania, ludzie wylewają łzy współczucia; a skoro rzekną: „dwie dusze bratnie musiały się rozstać” ci sami tkliwi, nie mogą pojąć tych subtelných mąk rozłąki; nie mogą pojąć że takie życie samotne bezprześcannem jest konaniem; nie mogą zgłębić téj rany, która serce zabija przy każdym dniu wschodzącem, myślą:

— Dzisiaj nie zobaczę ukochanej istoty, promieniny jej wzrok nie będzie mojem słońcem, nie utuli mnie głosu jej najdzwięczniejsza muzyka, nie ujrzę jej wcale!.. A przecież i z tą myślą trzeba żyć, trzeba!..

„O! czemuż na skrzydłach gołąbki białej, czemuż

nie mogę duszy mój wysłać do ciebie z zapytaniem: czy pojmujesz boleść rozstania?... Czy odczuwasz ją pani?..”

— On mnie kocha! mówiła Jadwiga, czytając list Mirona, kocha mnie, kocha! powtarzała z twarzą ukolorowaną ogniem rumieńca, wywołanego radośnem wzruszeniem i usiadła do pisania. Pióro jej szybko biegło po papierze; drobnouchnym maczkiem zapisała całuchne cztery stronnice arkusika welinu, a na każdej kilkakroć skreślone było: tęsknię bardzo, powracaj. Gdy przecież list już gotowy do posłania leżał przed nią, nagle ogarnęła ją trwoga. A cóż jeśli wróciwszy, Miron wśród dostatków zaniedba pracy i studjów? Cóż jeśli porzuci pędzel?.. Jeśli moja miłość unicestwi jego talent?..

Gdyby piękna panna miała rozsądną matkę, albo przewodniczkę, ta byłaby jej dała radę, któraby się stała normą jej postępowania; lecz ona biedaczka nie miała nikogo, nikogo nie miała; żadnego doradcy prócz fantastycznej rozbującej wyobraźni, prócz marzycielskiej duszy, która nie wiedziała co jest prawdą, co jest rzeczywistym obowiązkiem życia, to też po długim rozmyśle: Och! nie, nie, nie, nie chcę na moje sumienie brać odpowiedzialności tak ciężkiej! zawołała z głośnem łkaniem upadając na krzesło.

W godzinę potem konny posłaniec do stacyi pocztowej wiozł list, w którym całą siłą woli powstrzymując ekstazę kochającego serca, piękna panna do Mirona łagodnie przemawiała słodkimi, lecz chłodnymi wyrazami życzliwej znajomej.

Może ten list oczekiwany niecierpliwie, rozpieczętowany drżącą ręką, może ten list tak mało serdeczny znów przyniósł malarzowi rozczarowania trochę, ale wygnaniec i samotnik znalazł w nim wieści z dalekiego kraju, wieści, które dla stęsknionego serca były, niby pociechy balsamem gojącym; więc też odpisał natychmiast odwrotną pocztą; Jadwiga wyprawiła odpowiedź do niego, i tym sposobem pomiędzy Rzymem a Rozalinkiem, zawiązała się ciągła i nieustająca korespondencya.

Miron do Jadwigi (W rok później:)

— Owa zapowiedziana niespodzianka, jest portret mój, który z niniejszym listem jednocześnie wysłałem. Chciałem weni technąć duszęmoją całą, abyś pani odgadła moje dla ciebie uczucia... Zawieś go pani w mozaikowanym twoim pokoiku slicznym, i niech każdy promień księżycy, każdy atom który słońeczko Boże rozsiewa, niech spłynie ku Tobie wspomnieniem o pielgrzymie dalekim.

Podziwiam cudowne jasnowidzenie pani; rzeczywiście recenzją gazet polskich jestem bardzo zgnębiony. „Ze wszystkich malarzy, ziomekó naszych, jeden tylko Miron Wilski, z Rzymu dotąd nie nadesłał nam pracy żadnej;... czyżby więc jak to czasem bywa zwiośnianem pękowiem i talent jego przedwcześnie uwiądł, nie doszedłszy pełności rozwicia?..

Te słowa krytyka zabolaly mnie bardzo. O! Goethe miał słusznosc mówiac. „*Wer dem Publikum dient ist ein armes Thier.*” Tak artysta jest niby ono zwierzątko robocze, któremu po siedmiu dniach znoju, nie wolno miec chwil wytchnienia i niedzielnych momentów! Skoro jednę chwilę poświęcisz ogółowi, zaraz z tyranją despoty woła. „Musisz na usługi moje oddać całe życie!” I musisz, bo przeciwnym razie zwią cię *il vivo sepolto*,

krytyka pisze ci o wyroku śmierci, jak wódz naczelny skazuje na śmierć żołnierza, który, gdy zabrzmi trąba wojenna nie biegnie od razu w szeregi, ale minutę, — jedną tylko minutę zatrzymuje się, by ze wzgórza spojrzaniem ostatniem, pożegnać rodzinne strony; ementarz kędy w mogile spoczywają rodzice najdrożsi, — omszony kościółek, gdzie do gromady wiernych był przycięty, gaje, ukwiecone łąki przebrzmiały echem pieśni stęchnionej bogdanki, lub chatę, kędy zostawił żonę i ukochane dzieci.

A jakąż to najczęściej bywa nagroda artysty?...

Oto po śmierci, na grobie złożą mu koronę wawrzynową, biust jego umieszczą w muzeum; niekiedy stawiają mu posąg, książki całe zadrukują życiorysami w których prawda splącze się, z imaginacyjnymi szczegółami. Szczegółom tym publiczność, niby Ewangelii uwierzy, gdyż biograf ten sam, który bez miłosierdzia skalpelem krytyki dysekował dzieła artysty, ostrzem pocisku wdzierając się w samą głębie duszy jego ten sam powie: „Jam przyjacielem był zmarłego!” Przy jacielem był — powtórzą tłumy, więc trzeba wierzyć, bo przyjaciel też musi być dobrze poinformowany.

Owóż: powiem pani że z myślami takimi smutno mi, źle na świecie. *Licht mehr licht!* wołał umierający poeta; ach! i ja wołam światła, ciszy, spokoju żądam dla znękanego serca... Jest w ziemi polskiej zakątek malutki — jest ustronny domeczek nad brzegiem Narwi pod cieniem lip i dębów starych, tam uskrzydłona dusza moja często wybiega, — klęka przy sanktuarjum pamiątek i stamtąd mi przynosi promyki natchnienia!

Jadwiga do Mirona

Słowa ostatniego listu pana smutnem echem odbiły się w mojem sercu. Jesteś rozczarowany do życia, zniechęcony do sztuki. Nie spodziewałam się tego. Jam sądziła dotąd, że dym pochwalnych kadzideł niekiedy bywa narkotykiem odurzającym w odrętwiałość i zastój moralny, zaś krytyka przeciwnie tylko pobudzać może do czynu; krytyką więc gardzić, ani przeklinać jej nie należy. Ona jest koniecznie potrzebną. Jest potrzebną koniecznie, choćby jedynie dla tego, by ogółowi sędzia kompetentny wskazał idealne piękności i błędy; wskazał dobrą lub fałszywą koncepcję utworu; nawet samemu artyście, na bezbrzeżnym oceanie sztuki, ona niby gwiazda polarna może wskazywać kierunek i drogę najlepszą. Ostra, niesprawiedliwa, bywa tylko chwilową. Społeczeństwo każdemu odda hołd należy; przypomnij sobie przykład tak świeży, przypomnij sobie Bayrona. Po ogłoszeniu pierwszych poezji odmawiano mu zdolności; krytykę odparł obosiecznym satyry mieczem, zatrutą strzałą szyderstwa. I cóż? Oburzył na siebie naród cały; żaden z lordów nawet z lordów mu pokrewnych, nie chciał go wprowadzić do izby parów; zniechęcony opuścił ojczyznę, w której: „nikt za nim nie płakał.” A dziś? Dziś sprawdziła się własna jego przepowiednia: „Gdy z wysokości zamków powietrznych zawołają mnie duchy praojców, na kamieniu grobu mego, imię moje będzie jednym pochwalnym napisem” Tak, dziś nie tylko ziomek, ale wszech — narodów serca uwielbieniem i miłością biją dla wieszca Albionu.

Więc chociaż niesprawiedliwość krople cykuty i zółci wlewa do czary pomazańca geniuszu, jednak to ambrozji boskiej zatruwać nie powinno.

Nie dziw się pan że ogół żąda czynu i pracy, boć tylko w czynie i w pracy jest szczęście, jest zbawienie ludzkości. Nie naśladuj więc rozmarzonych żołnierzy, ale raczej patrz na tamtych, którzy ze sztan-

darem swoim i za hasłem wodza, bez zwłoki biegną po śmierć bohaterską lub zwycięstwo.

Ci którzy spłacili dług społeczeństwu którzy wywiązali się z obowiązków względem rodaków i ziemi ojczyźnej, ci jeśli umierają w pielgrzymce dalekiej, będą mieli grób uczczony, grób spokojny; a jeśli wrócą szczęśliwie, to przy domowym ognisku znajdą miejsce należne i stęsknioną bogdankę znajdującą.

Wietrzyk północny, w tej chwili ku południowi, ku Italji śpieszy. Niech on ode mnie artyście niby dwa talizmany zanieś dwa słówka małe: *Praca i wytrwałość*. Donieś że mi pan, donieś co rychlej, że wietrzyk dobrym, że wietrzyk wiernym był posłem.

Miron do Jadwigi.

Za radę i pociechę stokrotnie dziękuję pani. Obie zarówno były skuteczne do tego stopnia, że z całym entuzjazmem ująłem pędzel i owoc méj pracy przesyłam.

Wiodę tu życie samotne, całkiem odosobnione; chociaż bracia malarze, gwałtem pragną mnie wciągnąć do swoich zebrań wesolych. Odmawiając kilkakrotnie zaproszeniu, dałem ten powód, że artysta, niby kapłan od gwaru i zgiewku powinien żyć daleki. Sprzeczałyśmy się długo, w rezultacie ja przy zdaniu i zwyczajach moich pozostałem. Odbywałem tylko przechadzki dalekie, lub stoję na ulicy godziny całe, patrząc na owe cudne typy rzymskie. O! jakże tutejsze kobiety niepodobne do naszych słowiańskich biało-różowych piękności, które są niby malowidło piękne, delikatne, lecz bez mocy, bez kolorytu, ognia, gry światła i cieni.

Najczęściej wszakże oczy zamknawszy, myślą wędruję do Rozalinka. Ach!... Kiedyż, kiedyż, zobaczę ciebie?... Może zejdziemy się dopiero po drugiej stronie grobu i tam w lepszym świecie podamy sobie ręce? Lecz nie, Bóg dobry, a ja wolę powiedzieć do widzenia w Rozalinku. w pięknej ustroni cichęj do widzenia.

Jadwiga do Mirona.

— Gdy mi twój portret nadesłałeś na twoją cudnie piękną patrząc pracę zawołałam: „To czoło wyniosłe stworzone jest do korony laurowej, sława koniecznie uwieńczyć je musi!” Proroctwo moje nadspodziewanie szybko się ziściło, gdyż nietylko recenzja bardzo pochlebnie dzieła twoje ocenia, lecz najwyższy hołd udzielił im głos publiczności. Słuchaj pan pierwszych dni po otwarciu, kompletnie zamieszkałam w salach wystawy, bo najpierw sama chciałam nacieszyć się pracą twoją, chciałam słyszeć zdania o dziełach twoich i pracach naszych artystów. Malowidła twoje, w dobrém świetle umieszczano w „pierwszej, najobszerniejszej” komnacie. Przed *Umierającą dziewczyną i Gronem bawiących się dzieci* stawały tłumy: „Te, i tym podobne eksklamacye, wychodziły z ust tych którzy w zamalowanym płótnie tylko wrażeń szukać zwykli! „Gra światła i cienia przepyszna, delikatność pędzla niezrównana! koloryt idealny!” mówili pragnący uchościć za głębokich kunsztu malarskiego znawców. Aż wreszcie gdy orszak najciekawszych przepłynął do sal innych, nadeszła siwo włosa kobieta w żałobie. Zatrzymała się przed obrazem i stała długo, aż nakoniec drżącą ręką jąla przewracać stronicie katalogu; łyż co raz więcej zamglewały jej oczy.

— Nie wiadomo pani czyjego pędzla jest ten obraz spytała zwracając się do mnie.

— Mirona Wilskiego, rzekłem. Serce biło mi silnym wrażeniem, ciekawością wielką — a tymczasem kobieta mówiła.

— Zapewne to młody, uczuciowy artysta? Twarz tej umierającej dziewczyny, w słowa nieujętym wdziękiem jaśnieje, i drobna, delikatna, dziecięca prawie, a smutna i cierpiąca... na wątłej kibici — na szyjce łabędziej, niby kwiatek bieluchnej stokrotki zawisła. Oczy ma przywarte i spuszczone, jakby chciała zarzucić w tę zimną ciemność grobu, który ją od rozkosznej uczy życia bezsilną pociąga ku sobie... Ta niewiasta klęcząca obok, — ach!... to pewno jej matka; — jej matka co za bliską chwilę, ma utracić swój skarb najdroższy, skarb jedyny. I pewno skamieniała w rozpacz — ale na błękitnym obłoczku spłynął anioł: rąbkiem śnieżnej szaty ociera łzy, złotopiórym skrzydłem chłodzi czoło — i płaczącej szepeje słowa Apokaliptycznych nadziei... A ile jest prawdy w tym obrazie!.. mogę wyrokować ja, która podobny moment przebolelałam. Tak pani, miałam jedyną córkę miłą, piękną, zaręczoną z równie powabnym i dobrym młodzieńcem. Jam układała dla niej tuziny szat jedwabnych, stopy złota i drogich kamieni zebrałam. A ze wszystkich darów matczynych, ona tylko leciuchną sukienkę białą, tylko wianuszek pomarańczowych kwiatków wzięła sobie nieboga. Zamiast ślubnego kobierca, rozesłano jej całun śmiertelny. Jak niegdyś w kolébce, jam ułożyła ją w trumnie; zostałam samą, samą zostałam, na świat i życie. A jakim cudem, w sercu jęk szalonej rozpacz przycicha, za łaską miłosierdzia Bożego?... Jam nie wiedziała dotąd, gdyż po śmierci jedynaczki o miłosierdziu Bożem zwątpiłam. Ten młody artysta przypomniał mi, że są aniołowie pocieszyciele. O! niechaj go strzegą w szczęściu i w sławie, a podniosą w boleści, cierpieniu; i w upadku.

Rozrzewniona ucisnęłam dłoń czarno ubraną kobiety.

— Pani tego malarza jesteś?..

— Przyjaciółką, domówiłam śpiesznie.

— A więc przeslij mi pani, dzięki serdeczny i błogosławieństwo chrześcijanki, która przez lat wiele nie umiała złożyć, żadnego słowa modlitwy, a która dziś stąd odrazu, pójdzie uklęknąć przed ołtarzem, i modlić się będzie do miłosiernego Boga.

— Pospieszam spełnić zlecenie. A teraz powiedz pan, nie jesteście bliźnierzstwem, złorzeczyć losowi artysty, który genjuszem swoim, dowolnie, może poruszać wszystkie ludzkiego serca uczucia.

A gdybyś jeszcze widział jak słiczna, modrooka, niby centofolii pączek różowa ośmioletnia pieszczoszka rozkosznie śmiała się podziwiając gromadę *igrajacych dzieci*, jak niezmiernie ubawił ją, malowany chłopiec, który z pociesnym grymasikiem, patrzy na swą własną twarzyczki odbicie, w kryształej strumyka; jak zainteresowaną była losem baniek mydlanych, które przygotowują inne dziatki.

— Żeby się też aby udały! mówiła z westchnieniem.

— Bawią się dobrze, gdyż były grzeczne, odrzekła matka.

— To ja też będę grzeczną — a zaprowadzi mnie matka na taką łąkę przesliczną?

— Zaprowadzę.

— Ach! jak to dobrze! zaprosimy Lucję, Binia, zaprosimy wszystkich! zaraz niech-no się jeszcze przypatrzę, jak oni się bawią na tym obrazku, my się będziemy tak samo bawili. Będę bardzo, bardzo grzeczną będę mateczko!

Tę strofkę idyllicznych uwielbień dziecięcych, na pociechę radosną przesałam panu.

A teraz pomówmy o kwestyach naszych.

— Dla czego pan unikasz towarzystwa współziomków?... Kapłaństwo artysty, nie leży w odosobnieniu od ludzi. Takie odosobnienie wyraża najczęściej dżiwactwo, złoćciwość, manjerę, przesadę: Owszem artysta powinien znać życie, we wszystkich jego przejawach; powinien wzory swe brać z postaci żywych, bo takie tylko mają prawdziwy naturalny koloryt; tajniki ludzkiego serca, nie mogą być mu obce; artysta-psycholog, jest najdoskonalszym mistrzem. Czyż dosyć namalować urocze *ale tylko zmysłowo piękną postać*?.. Nie, trzeba w tę postać tchnąć ducha; a znajomości duszy, tylko przez obcowanie z ludźmi się nabywa; z książek, z rozmyślań własnych, o charakterach ludzkich wiedzieć można tylé: co o krajobrazie, którego nieraz widzimy w powietrzu. Dla tego panie Mironie, proszę zbliżyć się do twoich braci, zaprzyjaźnij się z nimi, a w tym stosunku niewątpliwie znajdziesz jakie źródło natchnienia, rozrywkę i ukojenie w tęsknocie znajdziesz.

W stanowczej opozycji, pierwszeństwo zawsze i bezwarunkowo słowiańskim typom przysądzam. Plemię romańskie niezaprzeczenie; ma klasyczną delikatność rysów czystość profilu; lecz gdzie się znajduje sympatyczniejsze oblicze, nad urodziwą twarz Słowianina?... Tę dziwną urokliwość, słowiańskich twarzy, tłumaczę ludową skazką, która tak brzmi: „Błękitne jest niebo kędy mieszka Bóg, złote promienie i lilije białe, otaczają tron Wszchemocnego i z tej przyczyny, wszystkie serca pociąga modrooki człowiek, ze złotymi włosami, i z lilijnie białą twarzą.”

Nie narzucam ci jednak moich przekonań, ani gustu mego; bo artyście rzecz ten, a nie inny wybierz sobie ideał, byłoby równą niedorzecznością, jak gwiazdce powiedzieć: zmień swoje miejsce. Na cóż? spytałaby — dla czego? skoro gdziekolwiek bądź jestem wszędzie i zawsze błyszczę, zawsze pięknym, jasno-złotym świecę promieniem.

Czytelniku wiesz ty jak dobrą przyjaciółką, jak słodką pocieszycielką jest wyobraźnia?... Ona to wywołuje drogie widziadła i cudne roztacza obrazy. Na zakłęcie tej czarnoksiężnicy stają przed tobą ukochane postacie, zamieniają słowa i przyrzeczenia, a widok ich na czas długi, spokój i uciszenie daje.

Śród niemiłych wizyt sąsiedzkich, wspomnienia przeszłości, luba przyszłości nadzieja, i listy Mirona, szczęściem jedynym były Jadwigi.

Te listy, w początkach miały akcent rozręchnionego uczucia do Rozalinka, do kraju, po upływie trzech lat, stawały się coraz chłodniejsze, coraz rzadsze. Wówczas już sędziowie kompetentni, Mironowi przyznali wielką zdolność należycie wykształconą, więc Jadwiga rzekła: może już wrócić. Doniosęmu o mojej sukcesyi, niech wraca! i napisała:

— Głęboką prawdę wygłosił Hamlet mówiąc: „Trzeba nam być podeszwą Fortuny, a nie zwierchnim guzikiem, u jej czapki,” czyż nie dziwne są zrządzenia losu?... Najniespodziewaniej odziedziczyłam: — miljon. Jestem więc bogatą, i cieszę się tém, nie dla tego, że ten miljon daje mi stanowisko, przepych wykwinny, możność zaspakajania upodobań; ale cieszę się, gdyż majątek mnie uprawomocnia, do posłuchania głosu serca; jestem wolną teraz, proza życia nie na-

kłada już kajdan na uczucia moje. Wolną jestem, do nieobecnych stęsknioną bardzo. Panie Mironie wracaj proszę, wracaj, niezajęte miejsce w Rozalinku oczekuje ciebie."

Miron nie spytał: jaki jest ten głos serca czarno-włosiej panienci, nie zapytał bynajmniej; nie chciał, czy nie mógł zrozumieć tych wyrazów „jestem wolną”, a na proźbę tkliwą taką dał odpowiedź.

„Miałem zamiar dłużej pozostać w Rzymie, lecz— skoro pani żadasz wrócić. Wróć, jednak nie wcześniej aż z waszą wiosną. U was teraz smutno, śnieżno; a nam ciepłe słonko przyświeca; nam kwiaty rozsiewa szczodrobliwosć południowej Flory. Więc mi żal tego słonka, żal mi tych kwiatów, dreszczem przejmuję mnie świst rozkukanego Boreasa; i zostanę tu, zostanę do wiosny."

Ten list, niepokój, łzy, smutek, wplótł w dnie, pięknej panny. Nie było w nim groźby wyraźnej, ale ona instynktowo czuła, że najpogodniejszy zręb jej nieba się zachmurzył, że najdźwięczniejsza struna jej życia zerwała się już, albo wprędce zerwać się musi. Odpisała natychmiast.

„Ja nie żądam, byś pan wracał, ja nie żądam ofiary takiej. Dobrze ci jest w Rzymie więc zostań tam nietylko do przyszłej, ale jeszcze do następnej wiosny, zostań do nieograniczonego terminu."

Jeżeli powiemy sobie, że zobaczymy ukochaną osobę za rok, za lat dziesięć nawet, to cierpliwie będziemy czekali. Każdy dzień upłyniony, każda miniona chwila, przyniesie pociechę, że już bliżej jesteśmy celu, bliżej tej szczęsnej godziny, która z nią ma nas połączyć.

Ale czekać *nieograniczonego terminu*.. Och! ileż w tym wyroku mieści się tęsknoty beznadziejnej, ile też tak bolesnych, że swą goryczą zatruc mogą, całą istotę moralną!

A przecież panna Karzyńska, miała odwagę dla siebie samą, taki okrutny wyrok skreślić; tylko trwożna pytała często: Jestże uczucie, któreby próbę lat przetrwało? Jestże na świecie uczucie takie?... Lecz ten, który jej mógł na to odpowiedzieć, kilka miesięcy nie dawał o sobie wiadomości żadnej.

— Może on chory?... przypuszczała Jadwiga i zaczęła snuć projekta podróży do Rzymu.

A projekt ten, przyszedł jej właśnie na samotnej przechadzce, podczas zapadających mroków pogodnego i gwiazdzistego wieczora; kiedy tak zwana szara godzina, serce nastroja tkliwiej, a czyniąc umysł lotniejszym usposabia go do marzeń.

Więc i piękna panna marzyła. Mały, biały obłoczek przepływający po nad głową idącej miedzą przydrożną, skierował się ku południowi, ona spojrzawszy na niego szepotała: Gdyby to jak w bajce, ta chmurka zaniosta mu odemnie pozdrowienie... gdyby ta chmurka mogła być posłem, donoszącym mu że za trzy tygodnie zobaczymy się!... Za trzy tygodnie! Za trzy tygodnie! powtarzała upojona dźwiękiem tych wyrazów, które jej marzenia kolorowały przesłicznie.

Nagle ozwała się trąbka. Turkot kół i metaliczne dźwięki wśród wieczornej ciszy rozlegały się bardzo wyraźnie.

— To Miron wraca! zawołała, to on przybywał!

Stanęła, serce jej biło jak młotem, przyciskając obie ręce do twarzy płonącej szepotała: Bez orzeczeń, bez aluzji żadnej, wprost mu powiem: że już teraz możemy żyć razem, nie rozłączając się ze sobą, aż do chwili zgonu!..

Tymczasem pociemniało niebo, księżyc niby opo-

ną białą zasłoniły chmury, a powozik wyjechawszy z gaju, szparko toczył się gładkim, i równym gościńcem.

— Stój! stój! to ja! to ja! wyciągając ręce, z radością, zawołała piękna panna, gdy około niej przejeżdżał.

— Droga! odpowiedział słodki wzruszeniem, głos wychylającej się żeń postaci. Marzenia Jadwigi rozwiały się pierzchły, jak sen, z którego człowiek budzi się rano; zawiodło ją przecucie, to nie Wilski przybywał, ale przyjaciółka jej lat młodocianych Wanda.

— Jagódko! mówiła młoda kobieta, tuląc ją sobie do piersi, Jagódko, czyż tobie jasnowidzenie przyjaźni dzisiaj objawiło przybycie moje?

— Nie, odrzekła piękna panna i łzy, gorzkie łzy rozczarowania spływały po jej twarzy; ale wnet odezwało się w niej serce: „Za trzy tygodnie, za trzy tygodnie, zobaczysz go!...” więc ta rozkoszna pewność, stłumiła ból zawiedzionej nadziei, dziewczyna otarłszy łzy, radośnie witała dawną, ukochaną szkolną towarzyszkę swoją, która zamiast szczebiotliwości, figlarności i żywości dawniej, teraz miała w obejściu dziwnie piękną, i niemal dostojną powagę kobiety zameźnej. Ucałowana, tysiącem wykrzykników radosnych powitana, i z ubioru podróżnego rozebrana Wanda, prędko rozgościła się w rozalińskiej willi, a z troskliwością serdeczną, wypytawszy się o miejscowe nowiny, zaczęła mówić o sobie.

— Wracam z dalekiej przejażdżki po Europie; a projekt do tej podróży, mój mąż ułożył niespodziewanie i nagle. Zeszłej jesieni w domku naszym, siedzieliśmy we dwoje przy kominku, i dokładając na ogień drewna brzozone, gawędziliśmy o różnych różnościach. Rozmowa, niby konik polny skacząca, cokolwiek dłużej zatrzymała się na podróżach Kremera, które właśnie w wilię dnia tego doczytaliśmy, do ostatniej stronnicy.

— Gdyby te pięknerzeczy, na których tylko wyobraźnią patrzyliśmy, zobaczyć żywemi oczyma!... rzekłam — Chciałabys Wilo? zapytał mój mąż.

— Chciałabym! odparłam bez wahania, ale też i bez nadziei żadnej, aby to moje żądanie ziściło się kiedykolwiek w życiu. Tymczasem w kilkanaście dni potem, wieczorem, w czasie pełni zauważyłam, iż księżycowe światło, wszelakie rzeczy przeobraża, uroczą jakąś fantasmagoryą, bo nawet, wcale nieestetyczne zabudowania nasze gospodarcze, w blaskach miesięcznej nocy wyglądają pięknie. Zawolałam mego męża do okna, chcąc mu to pokazać, on rzekł:

— Od dziś za miesiąc o téjsamej godzinie, będziemy obserwowali jak też księżyc przegląda się w lusterku zatoki neapolitańskiej.

— Co ci też w głowie odparłam z uśmiechem, a on żartobliwie głos mój przedrzeźniając trochę odpowiedział: znowu.

— Nie myślę się bynajmniej, patrz!..

Oglądając zdziwionemi oczyma, podany mi papier zobaczyłam, że to był paszport do Włoch.

(D. c. n.)

Od Redakcyi.

Obecny numer Kroniki jest przedostatnim numerem bieżącego kwartału. Przypominamy zatem prenumeratorom kwartalnym wczesne złożenie przedpłaty, jeżeli nie chcą doznać opóźnienia w przesyłce pisma.